



LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 3—577.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 21 stycznia 1887 r.

9 stycznia 1887 r.

Tom XXIII.

Z WARSZAWY.

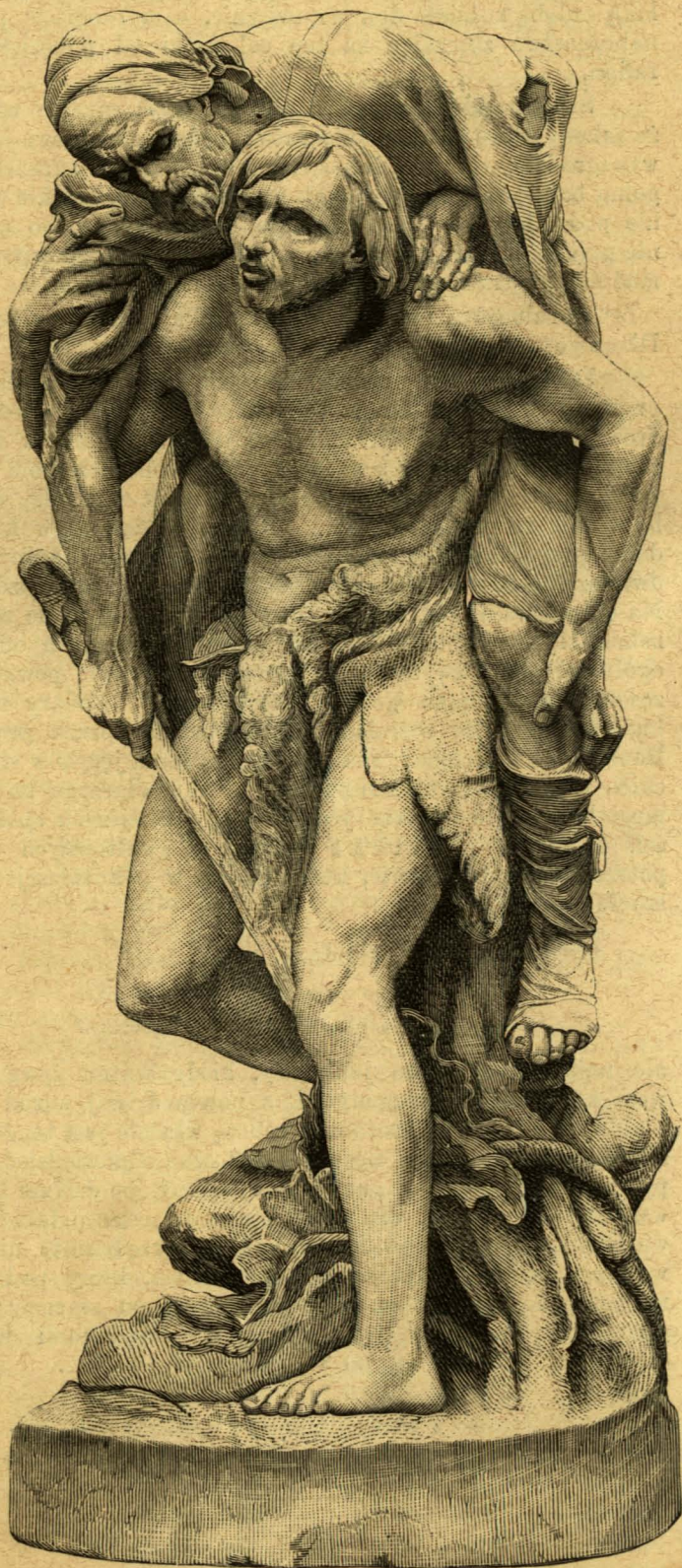
Osady rolne i słówko o nieregularnych płatnikach.—Popularne odczyty rzemieślnicze.—Dlaczego?—Dlaczego upadły kopalnie siarki w Czarkowach?—Dlaczego w Zamościu zarząd straży ogniowej ochotniczej nie zdaje sprawy z swych czynności?—Dlaczego tania orkiestra amatorska zamilkła? — Dlaczego świętokradstwa się mnożą? — Dlaczego spalił się kościół katolicki w Dorpacie?—Dlaczego powinniśmy sobie wciąż zadawać pytanie: dlaczego?...

Jedną z najzacniejszych i najpożyteczniejszych instytucyj, jakie w kraju naszym z prywatnej inicjatywy powstały, Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, w tych dniach ogłosiło sprawozdanie z działalności swojej za rok 1885. Odczytanie tego sprawozdania, to radością, to żalem na przemiany przejąć musi serce człowieka, dla którego stan społeczeństwa własnego nie jest obojętny. Radością—na widok dobra, jakie szczerą chęć i miłość rzeczy publicznej nawet przy skromnych środkach dokonać jest w stanie; żal na myśl o tém, jak dalece ta szczupłość środków materyalnych staje na drodze rozwojowi pożytecznej działalności, kępując najzabawniejsze usiłowania, najlepszym intencjom obcinając skrzydła.

Toć w ciągu dziesięcioletniego okresu istnienia tej instytucji, przez zakład studzienicki przeszło już 351 małoletnich przestępców, którzy wstępując do osady z piętnem zbrodni na młodocianém czole, opuścili ją po większej części z sercem oczyszczoném od skazy, z głową podniesioną do góry, tak jak ją ludzie uczciwi nosić zwykli. Około pięćdziesięciu wyszło już na porządnym czeladników, a sześciu jest już majstrami na własną rękę; inni rozrzucony tu i owdzie przechodzą jeszcze okres nauki, praktyki, ale są niepłonne nadzieje, że i oni z czasem wyjdą na ludzi.

Atoli już w tym r. 1885, który przyniósł dochodu brutto 36,201 rs., z 79 małoletnich przestępców zakwalifikowanych przez sądy do Studzienica, zakład, który w tym roku liczył 154 wychowanców, mógł przyjąć tylko 50. Fundusze nie starczyły na przyjęcie reszty, którą fatalność skazała na padnięcie ofiarą ostatecznego zepsucia, jakie na nią w zwykłych więzieniach, w towarzystwie dorosłych, wytrawnych zbrodniarzy czyhało.

Smutno przyznać, że ten brak funduszy, do takich bolesnych dla społeczeństwa naszego ostateczności pośrednio wiodący, powstał po części z winy tych, co pierwsi do istnienia dobroczynnej instytucji podwaliny położyli. W r. 1885 przybyło wprawdzie Towarzystwu 144 nowych członków, ale z dawniejszych, z pierwotnych musiano wykreślić 172, bo nie płacili składek do których się zobowiązali, a których zaległość wzrosła do ogromnej jak na interesa zakładu sumy 31,000 rs.;



KULAWY I ŚLEPY. Rzeźba G. Michel'a.

łyżwom. Łódź w jego podróżach kilkomiesięcznych po wodach środkowej i południowej Europy złożyła egzamin ze swjej praktyczności a zarazem poniosła do Paryża nowy dowód barbarzyństwa niemieckiego. Kiedy p. W. przybył po Renie do Kolonii, Niemcy potajemnie, w nocy, łódź mu przedziurawili, nie mogąc znieść widoku trójkolorowego żagla francuskiego; łódź tak skaleczoną p. W. zawiózł koleją żelazną do Paryża i tam wystawił na widok publiczny. Technicy i publiczność podziwiali zgrabną i wytrzymałą budowę statku, więcej jednak zajmowało ich przedziurawienie dokonane ręką niemiecką; łatwo sobie wyobrazić w jaki sposób rozjątrzeni francuzi ten krok antycywilizacyjny opisali piórem i ołówkiem.

Masa papierowa już oddawna stała się ważnym czynnikiem w przemyśle: wyrabiają z niej wozy, sprzęty domowe, koła, szyny, beczki, domy a nawet kominy... my tylko na próbę zdobyć się dotychczas nie potrafiliśmy, a co prawda i wyrobów z tej masy, oprócz zabawek dzieciennych, w warszawskich sklepach nie widać. Jeżeli one rzeczywiście są tak dobre, trwałe i tanie jak głoszą cenniki zagraniczne, to warto zapoznać się z niemi. Długi czas meble gięte były monopolem Wiednia, płaciliśmy mu ogromny haracz, nareszcie zdobyliśmy się na odwagę i teraz obywamy się już bez stołków zagranicznych.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Zasługi kapłańskie proboszcza w starym Zamościu, ks. kanonika Woszczyńskiego, przypominały wdzięcznym jego parafianom, że czcigodny przewodnik doczekał się jubileuszu swjej służby. Zgromadzili się ziemianie szlachta i włościanie, aby jubilatowi złożyć najserdeczniejsze życzenia i podziękować za miłość, jakiej dowody codziennie kapłan dawał potrzebującym jego pomocy i pociechy. Przybyli także z dalszych stron przyjaciele i znajomi, nie zapomniawszy przysług doznawanych w różnych ciężkich chwilach życia.

Konkurs. Pragnąc przyczynić się do ożywienia ruchu literackiego oraz otworzyć nowym talentom pole do zmierzenia sił swoich ze starszymi pracownikami na polu piśmienniczym, redakcja „Kuryera Warszawskiego” ogłasza konkurs na powieść oryginalną, osnutą na tle społecznym, obyczajowym lub społecznym, przeznaczając na nagrody fundusz 1,500 rs. Utwory powieściowe przeznaczone na konkurs obejmować mają najmniej 6,000, a najwyżej 10,000 wierszy zwykłego druku „Kuryera”.

Termin nadsyłania prac konkursowych oznacza się do 30 września r. b. włącznie. Prace nadesłane ocenione zostaną najpóźniej do d. 30 listopada r. b. przez komitet sędziów, w którym przyjęli udział pp. Ludwik Jenike, Piotr Chmielowski, Dyonizy Henkiel, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemiński, Henryk Sienkiewicz, Władysław Bogusławski i Władysław Sabowski. Nagród ustanawia się dwie: pierwsza 1,000 rs., druga 500 rs. Komitetowi sędziów służy prawo, w razie braku odpowiednich utworów, nie przyznania żadnej nagrody lub przysądzenia jednej tylko. W takim razie fundusz pozostały będzie na następny konkurs użyty.

Dom Długosza w Sandomierzu, noszący tę nazwę dlatego, że był własnością i długoletnią siedzibą naszego historyka, oddany w r. 1865 na pomieszkania dla służby kościelnej katedry sandomierskiej, doczekał się nareszcie lepszych czasów dla siebie, bo zwierzchność dycezyjna postanowiła odnowić go i przeznaczyć na użytek odpowiadający jego przeszłości godniej niż dotychczas. Odnowienie ma być wkrótce rozpoczęte pod kierownictwem budowniczego p. Wąsowskiego. Spodziewamy się, że szczególne cechy starego domu jaknajsumienniej będą zachowane, w przeciwnym bowiem razie odnowienie wpłynęłoby ujemnie na wartość tej posiadłości jako pamiątki. Nadzieję tę gruntujemy na opiece zwierzchności dycezyjalnej, która idąc za przykładem swego najdoskoniejszego arcybiskupa, już nie jedną rzecz cenną, zaniedbaną dotychczas, wydobyla z pod pajęczyny i wapna. A i znanstwo artystyczne p. budowniczego jest rękojmią, że architektura dzisiejsza nie będzie się siliła zastąpić dawnego stylu.

Jan Okoński. Nie jedno, nie dziesięć pokoleń pokładło się do snu wiecznego z tych, których Okoński bawił i rozrzewniał, przedstawiając z trupą swoją komedye, farsy, melodramy... na różnych scenach małomiasteczkowych, urządzonych w zajazdach, salach bilardowych lub w barakach wystawionych na środku rynku, pod murem ratuszowym a nieraz i pod parkanem ogrodowym. Pokolenia śpią, już się nie śmieją ani płaczą, a dyrektor staruszek jeszcze rozpamiętywa dzieje swego tułaczego żywota. Bieda go powoziła całe życie, ale nigdy nie osadziła w błocie. Zawsze i wszędzie Okoński był uczciwym człowiekiem i uczciwym aktorem, znikąd nie uciekał przed długami, nigdzie nie szerzył ze sceny zgorszenia — pracował ciężko, ale nie jałowo; nie zebrał grosza na stare lata, ale może bez wstydu opowiedzieć całą odysseę swego aktorskiego zawodu. W r. b. właśnie Okoński doczekał się 50-cio letniego jubileuszu; niema już jego starych druhów ani podkomendnych — niechże więc winszują nowi a nieznani mu towarzysze, którzy przed weteranem salutować powinni, jeżeli chcą i sami kiedyś tego holdu zakosztować.

Austerye w Warszawie. Właściciel wielkiej miodosytni w Krakowie, ma zamiar założyć podobną w Warszawie, a do rozprzedaży tego sławetnego trunku zbudować w różnych miejscach miasta izby gościnne, przypominające umeblowaniem i całkiem urządzeniem dawne tak zwane austerye pod kokoszką, pod lwem, bobkowym liściem, łączącym Borutą, panią Twardowską i t. p. Podobno i służba ma mieć kostiumy starodawne, a szyby będą oprawione w ołowiane ramki. Niemcy już dawno w takich piwnicach średniowiecznych spijają bawara; i my spróbujemy w austeryach zapomnieć o szablonowo wystrojonych restauracjach, które w historii sztuki zwać się będą salonami ziewającymi.

Przyroda wypowiedziała monopol wiośnie i zimie. W krainie cyprysów i pomarańczy, na wodach włoskich i hiszpańskich można używać doskonałej ślizgawki a szlichtady na ulicach Rzymu i Genui; równocześnie w Elizawetgradzie, w gub. Chersońskiej, na klombach kwitną kwiaty a na polach rusza się ozimina.

Tłumaczenie. „Sejm czteroletni” ks. Waleryana Kalinki ma wyjść wkrótce w przekładzie rosyjskim.

Zakon ekonomiczny. Z radością patrzymy na budzenie się przemysłu krajowego, a równocześnie hold składamy naszym kobietom, które naprawdę biorą się do pożytecznej pracy. Ale na nic się nie zdadzą usiłowania przemysłowców, na nic świetne wystawy, na nic dyplomy i medale, jeżeli publiczność kupować będzie wyroby zagraniczne. Pod tym względem wzorowy przykład dają panie krakowskie, które zobowiązały się do kupowania wyrobów krajowych a używania obcych tylko z konieczności. Do tego spisku należą matki, żony i córki rodzin zajmujących w Galicyi pierwszorzędne stanowiska pod względem obywatelskim i majątkowym, a więc panie: Stanisławowa Antoniewiczowa, Ksawera Chlebowska, Fortunatowa Gralewska, Lucyna Hallerowa, Felicja Homolacowa, Faustynowa Jakubowska, Franciszkowa Kasparkowa, Czesława Kieszowska, Władysławowa Lisowska, ks. Cecylia Lubomirska, Bolesława Lutostańska, marszałkowa Alfredowa Milieska, hr. Antoniowa Potocka, hr. Stanisława Potocka, Posnerowa, Maurycowa Straszewska, Wład. Szajnochówna, Szlachowska, hr. Janowa Tarnowska, hr. Antoniowa Wodzicka, Zakrzewska.

Inicytorką tego ekonomicznego zakonu jest ks. Helena Sanguszkówna; więc dziewczica podjęła się kierować sprawą, której nie podolali dotychczas piszący i każący moralizatorowie i ekonomiści. Daj Boże, żeby szlachetna sterniczka była od nich szczęśliwszą.

Czyby i Warszawa w bieżącym karnawale nie mogła się pochwalić zmianą korzystną dla przemysłu krajowego — a ma do tego bardzo łatwy sposób. Orderów i innych figlów kotylionych sprowadzają na każdy karnawał do Warszawy za kilka tysięcy rubli, równocześnie ogrodnicy żalą się na coraz mniejszą sprzedaż kwiatów i bukiecików; czyby więc nie dało się zastąpić orderów zagranicznych swojskimi kwiatkami? Niech propozycją tę wezmą pod uwagę nasi kawalerowie i panny; a może i między nami znajdzie się inicytorka ożywiona duchem ks. Heleny. Wprawdzie to tylko drobna cząstka,

ale my cząstkami gardzić nie możemy; załatwiając się powoli z drobiazgami, utworzymy drogę przemysłowi wielkiemu.

Ś. p. Antonina Leśniowska W Mińsku zmarła ostatnia bazylianka, ś. p. A. Leśniowska, czcigodna staruszka licząca 100 lat. W sukni zakonnej służyła Bogu i ludziom przeszło lat 80.

O Zakopane konkuruje Bank dla krajów koronnych w Wiedniu; w ten jedyny sposób perła tatrzańska wydrze się prusakom, którzy tępiąc lasy i krzaki z perły chcieli zrobić nagi kamień. Wprawdzie i bank jest przeważnie cudzoziemskim, ale gubernator jego, b. marszałek galicyjski, hr. Wodzicki może zapobiec, aby Zakopane nie przeszło z rąk prusaków berlińskich do rąk prusaków wiedeńskich.

SYN TĘPICIELA WILKÓW.

NOWELLA Z ANGIELSKIEGO.

(Dokończenie.)

I stało się jak był powiedział. Siódmego dnia przybyli na wskazane miejsce, a gdy stali pod palmą, trwając w modlitwie i rozmyślaniu, wiatr nocny, przesiąkły leśnymi aromatami, przyniósł im zdaleka zrazu ciche, przeciągłe, potem coraz głośniejsze i smutniejsze wołanie: „Gunga! Gunga!” Poszli za tym głosem; naraz u zakrętu ścieżki spotkali się oko w oko z tygrysem. „Oto duch!” wykrzyknęli jednocześnie i śpiewając pochwały Doorgi, szli nieustraszeni ku niemu. Ale tygrys jednym posuwistym skokiem rzucił się w głąb puszczy. „Duch uszedł nam!” wołali kapłani zawiedzeni, lecz w tejże chwili ponownie doleciało ich uszu żałosne wołanie: „Gunga! Gunga!” Szli więc dalej i wpoprzek ścieżki ujrzeni leżącego, konającego starca. Związali go sznurami, ale zanim zdolali podnieść na swoje barki, starzec jęknął i oddał ducha. A głos nieznany, tęskny jak kwilenie dziecka, jęczał wciąż, zmieszany z szumem liści: „Gunga! Gunga! Gunga!” Rzekli więc: „Duch ponownie wymknął się nam” i szli dalej aż stanęli przy wyschlęj studni, u kamiennego podnóża której, otulona w lachmany, z rozwianym siwym włosiem, siedziała Perła, wołając syna swego. Rzucili się więc na nią, skrępowali ją bez oporu i uwieźli powtarzającą bez ustanku „Gunga! Gunga!” A gdy wraz z ofiarą stawili się przed arcykapłanem, jedynym okrzykiem, który wydarł się z piersi skazanęj, był wyraz „Gunga!”

Na to arcykapłan odezwał się surowo: „Milcz, niewiasto!”

Słyszając głos ten, kobieta drgnęła całym ciałem; a gdy oczy ich spotkały się z sobą, żrenice jej rozwarły się szeroko, beznamiętnie, jakby skamieniałe przerażeniem czy szczęściem.

— Cud! cud! — wołali kapłani biegnąc do ludu by mu obwieścić wieść radosną. I okrzyk radości i zwycięstwa wyrwał się naraz z tysiąca piersi poruszonych nadzieją.

Gdy kapłani powrócili, zastali Gungę nieruchomego z oczyma wrytymi magnetycznie w obłąkane żrenice *ducha*.

— Przywiążcie tę kobietę do ołtarza — rzekł po chwili zmienionym głosem — i przynieście ogień święcony, aby ją spalić na cześć bogini naszej. Obwieście zarazem ludowi, iż dziś jeszcze, nim noc zapadnie, niebo ześle deszcz na spragnioną ziemię naszą.

A gdy kapłani rzucili się aby spełnić jego rozkazy, Gunga dostrzegł przedmiot jakiś błyszczący na obnażonej szyi ofiary, która bezbronne ręce swoje poddawała pod powróż.

— Zdejmcie to — rozkazał, stosując się do przepisane go prawami ceremoniału obrządku.

Podano mu przepołowioną rupią zawieszoną na cienkim sznureczku, i przywiązano Perłę do ołtarza, przed którym arcykapłan stał, zamyślony głęboko. Uderzono w wielki dzwon, na znak radości, i kapłani przyszli z procesją, niosąc święcone zarzewie dla zapalenia stosu.

Ale Gunga skinął na nich, mówiąc: „Wstrzymajcie się,” i wolnym krokiem wszedł do święconego przybytku, do którego nikt prócz niego nie miał przystępu. Tam zdarł z piersi ka-

pląską szatę, chwycił za zawieszony na święconej przedzy amulet i przyłożył go do trzymanej w ręku rupii. Odłamki monety w zupełności przystawały do siebie, tworząc jedną całość.

Arcykapłan uczył, iż kolana uginają się pod nim i padł twarzą śmiertelnie pobladłą, na zimny marmur posadzki. Dreszcz konwulsyjny wstrząsał jego ciałem; słowa modlitwy kamieniały na ustach.

Upłynęła długa chwila a on leżał wciąż odrętwiały, bezwładny, ukorzony przed obecnością mściwego bóstwa, któremu poświęcił młodość swą i życie pełne nadziei i zapału. Wrzawa głośnie niecierpliwącego się dokoła świątyni ludu, zbudziła go z odrętwienia. Ukrywszy złamaną rupią na piersiach, wszedł do świątyni, którą znalazł pustą. Na ołtarzu tylko leżała skrępowana ofiara: *Matka jego!*

W jednej chwili potargał jej więzy — i rzuciwszy je na ołtarz, chwycił drogi ciężar na ręce i uniósł go do sanktuarium. Złożył staruszkę u stóp posągu Doorgi a rzuciwszy się na kolana, całował ręce jej i nogi, czoło pomarszone i siwe włosy, spadające na ramiona, wołając: *Matko! matko moja!*

Spragnione usta jego z niepojętą tkliwością powtarzały słodki ten wyraz; słuch pieścił się i upajać zdawał brzmieniem jego, a lzy, pierwsze które wylał od dzieciństwa, staczały się po mężkiem obliczu kapłana.

Wyraz niebiańskiego szczęścia rozpromienił konające oblicze matki; żrenice jej przytomne choć zachodzące mgłą śmierci, utonęły w pochylonej twarzy jedynaka; głowę ocieżyła wsparła na jego ramieniu i szepejąc słodko: *Synu mój... skonała w jego objęciu.*

A wraz ze świadomością, iż matka jego żyć przestała, cała okropność położenia uprzytomniła się arcykapłanowi. Wszak stało napisane w Piśmie Świętym, iż przeklęty do tysięcznego pokolenia będzie syn, który nie zapali własnoręcznie stosu pogrzebowego rodziców swoich, a mógłże on, Gunga, arcykapłan Doorgi, syn święconej rzeki Gangesu, święty pomiędzy świętymi, wyznać wobec ludu całego, iż nie był braminem? Mógłże powiedzieć mu, że przez lat tyle, on potomek wzgardzonego rodu, syn tępiciele wilków, świętokradcą był w tej świątyni, którą obsługiwał; że popełnił zbrodnię, za którą niema dostatecznej kary na ziemi ani odpuszczenia w niebie?! A głód, który dziesiątkował lud niewinny, nie byłże karą zesłaną przez znieważoną boginię, za jego występki? Stał przez chwilę nieruchomy, wpatrzony w otwarte jeszcze, szkliste żrenice matki, w których tkwił stężyły wyraz miłości bez granic a myśli straszne, jak płomienie ogniste, przelatwały przez głowę jego. Zdawało mu się, że słyszy dokoła dzikie wrzaski pospólstwa wołającego nań: „Podły parya! oszuście! zwodzicielu nikczemny!” Ale ponad tą wrzawą motłochu, górował głos sumienia a głos ten spokojnym był i donośnym.

— Wybieraj — mówił on do niego — wyznaj kim jesteś i zbaw duszę matki i swoją własną, giń spełniając obowiązek; albo żyj nadal w kłamstwie a po latach niewiele bądź potępionym wiecznie za to, że nie spełniłeś synowskiej powinności.

Ponowny, natarczywy krzyk ludu wyrwał Gungę z śmiertelnego wahania, w którym losy jego ważyły się na szali. Objawszy oburącz święcone, woniące drzewo przygotowane na ofiarę, napełnił żywicą i aromatami fałdy podniesionej swjej szaty, powrócił do sanktuarium i ułożywszy wysoki stos dokoła leżącego u stóp Doorgi trupa matki, przyłożył doń ogień z ołtarza zdjęty. Patrzył jak płomienie ogarniały szaty zmarłej, złościł blaskami rozpromieniając sine jej oblicze; potem zamknął za sobą drzwi przybytku, których nikt prócz niego nie miał prawa przekroczyć, a wspinając się po ołtarzu i posągu Doorgi, dostał się przez oszklony w sklepieniu otwór, na dach świątyni. Ztamtąd wszedł na najwyższy szczyt środkowej kopuły i przystanął, spoglądając z góry na lud, który miotał się w uniesieniu radosnym. Wszystkie twarze zwrócone były ku niebu, bo tam na horyzoncie, kędy widniały purpurowe pręgi zachodu, wielka czarna chmura posepnym całunem zawisła nad obłokami; chmura ta rosła i potężniała z każdą chwilą, a zrywający się wiatr, który szeptał już poczynął w liściach bananów i małe tumany kurzu podnosił nad drogą, skrzydłami swemi niósł ją i pędził coraz bliżej; w końcu zasłoniła ona całą jasność słoneczną a duże, rzadkie krople deszczu padać poczęły z litościwego nieba na spragnioną ziemię.

Gunga stał i patrzył. Spokojnym był siłą męczeńską, która odbijała się na bladym jego obliczu, dokoła którego wiatr igrał z jasnym jego włosiem. Choć bowiem odnośnie do wierzeń swych współwyznawców, popełnił był świętokradztwo zdejmując święcone zarzewie z ołtarza, dla dopełnienia rytuału cudzego obrządku, jednak spokojnym był w sumieniu swoim, bo zadosyć uczynił powinności synowskiej.

U stóp jego lud krzychał i radował się, aż świątynia wstrząsać się zdawała w podwalinach swoich, a wśród wichru i deszczu rozbrzmiewały dokoła wołania: „Doorga jest wielką i wielkim jest jęj arcykapłan!” A syn stał nieruchomy, zapatrzonego w nie, bo, jakby natchnionym wzrokiem zbadać chciał jego tajemnice, które hukami grzmotów i błyskiem piorunów przemawiały do ludzi. Spalone usta chwytaly orzeźwiający powiew wiatru, który chłodził czoło młode, na którym świtały myśli wielkie; tęskne oczy spuściwszy się ku ziemi, obejmowały ją ostatniem spojrzeniem—naraż błyskawica straszna rozdarła chmury, zakreśliwszy nad głową arcykapłana świetlaną aureolę. W blasku jęj lud zgromadzony u stóp świątyni ujrzał chyłą się postać, która zgarnawszy fałdy białej szaty, rzuciła się z dachu na marmurowy dziedzińiec.

Gdy arcykapłana podniesiono — już nie żył.
Dobry syn połączył się z matką.



Przemówienie księcia Bismarka w parlamencie niemieckim.—Ich charakter i skutek.—Uchwała parlamentu i jego rozwiązanie.—Nowe wybory.—Co się dzieje w Niemczech.—Wznowiona wymiana zdań w kwestyi bułgarskiej.—Nowe żądanie Porty nadesłane do Sofii.—Prawdopodobny jego skutek.—Ruch w Macedonii.—Ruch na Krecie.—Cavete consules!

Nareszcie przemówił sfinks warciński. Rozprawy nad projektem rządowym powiększenia armii taki wzięły obrót, że kanclerz nie zdołał dłużej wytrzymać w swoim „ustroniu”, przyjechał do Berlina i przez trzy dni z kolei przemawiał w parlamencie. Przemówienia tym razem nie miały zwykłej energii i właściwej kanclerzowi swady; co gorsza były niejasne, poniekąd niekonsekwentne, jeśli nie sprzeczne same z sobą, jednem słowem nawet niezręczne. Gdziekolwiek, zwłaszcza tam gdzie chodziło o polemikę z ludźmi lub stronnictwami, błysnął dawny, szorstki, ukaśliwy dowcip; nie darował oczywiście mówców i polaków, ale wszystko to razem wzięte nie zrobiło wrażenia ani na Europę, która gubi się w komentarzach słów kanclerskich, ani na parlament, który obstał przy swoim.

W pierwszym swoim przemówieniu z zadziwiającą usilnością kładł kanclerz nacisk na przyjazne stosunki Niemiec z Rosyją, rozwodząc się nad niemi szeroko i długo, a za jedyny powód zmuszający Niemcy do ciągłego pogotowia wojennego i do pomnażania sił swoich zbrojnych podawał Francją, która, lubo nie w tej chwili, uderzy niezawodnie na Niemcy w celu odebrania im Alzacy i Lotaryngii. Żaden rząd francuski nie odważył się i nie odważy wyrzec myśli odwetu; francuzi czekają tylko, aż staną się silniejszymi militarnie od Niemców. Tu nastąpił obraz okropnego położenia Niemiec i Niemców, gdyby się dali pobić francuzom.

Dotąd było wszystko w porządku i politycy, mianowicie dziennikarstwo angielskie, poczęli wietrzyć rychłą wojnę z Francją. Mniej jasnym i zadawalniacym wydało się to, co książę mówił o stosunku Niemiec do Austrii: stosunek to nader luźny, który kanclerz zdawał się być gotów każdej chwili poświęcić dla przyjaźni rosyjskiej. Pisma wiedzenie, że wielkiem o tym ustępie mowy Bismarkowskiej mówią o burzeniu, widząc, że przymierze austro-niemieckie coraz bardziej przechodzi w stan chimeryczny i że Austrija na sobie samą polegać albo innych sojuszków szukać musi.

Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z niespodzianką trzeciego (we czwartek) wystąpienia kanclerza. Już poprzednio, na wzmiankę któregoś z deputowanych o przymierzu z Rosyją, odpowiedział samotnik warciński najlepszym jaki

mu się w ciągu trzech dni udał konceptem: „Słyszałem tu coś—rzekł—o przymierzu naszym z Rosyją. Ja jadłem wczoraj obiad z ambasadorem rosyjskim, ale nic mi o tem nie mówił...”

Już sam ten koncept nie licował z przesadnymi uniesieniami kanclerza we wtorek nad przyjaźnią niemiecko-rosyjską, a można sobie wystawić ogólne zdziwienie, gdy tym razem kanclerz przypuścił możność starcia z Rosyją, i z patryotycznym zapalem wołał, że Niemcy napadnięte przez rosyjan do ostatniej kropli krwi bronić się będą!... Nie dość na tem: zwracał uwagę Anglii, że zawczasu powinna myśleć o zagroźeniu Rosyi drogi do Konstantynopola.

Te sprzeczności stały się dla publicystów węzłem gordyjskim, nad którego rozwiązaniem darmo się siłą, a parlamentowi nie były w stanie zaimponować. Jakoż przy głosowaniu, które się odbyło w przeszły piątek (14 b. m.), projekt rządowy przeszedł większością 183 głosów przeciw 154, lecz tylko na lat 3, nie na 7, jak tego rząd się domagał. Tak tedy rząd poniósł klęskę, która nią być nie przestała mimo natychmiastowego rozwiązania izby deputowanych i rozpisanie nowych wyborów.

Obecnie Niemcy są widownią dwójakięj działalności: agitacyi wyborczej, która będzie niezmiernie ożywiona, oraz powiększania przez rząd armii przez tworzenie nowych pułków, bez względu na uchwałę nieboszczyka parlamentu i na możliwe poglądy na tę sprawę przyszłego jego następcy. Do 1 kwietnia, tak jak stało w programie rządowym, załogi na obu granicach niemieckich, zachodniej i wschodniej, wzmocnione zostaną.

Wiadomo, że w skutek wielkiej różnicy w poglądach, wymiana zdań między gabinetami nad sprawą bułgarską ustała była od pewnego czasu. Otóż obecnie, jako wskazówkę zmiany sytuacji ogólnej na lepszą, podają wiadomość o zawianiu tej wymiany zdań na nowo. Jeżeli się potwierdzi wiadomość, że Porta miała wysłać do Sofii żądanie, aby rejencya ustąpiła, wygładzenie tych różnic nie zdaje się być na dobrej drodze. Porta działając w myśl swego dzisiejszego zbliżenia do Rosyi, dotknie Anglię i Austrię, na których opierając się rejencya, nie ustąpi. Owszem, krok ten Porty, może zadrażnić położenie. Dopóki bułgarowie widzieli przychyłność Porty dla siebie, sami wstrzymywali ruch w Macedonii; dziś wzburzenie w tej prowincyi wzmagają się i wybuch powstania staje się coraz prawdopodobniejszy. Półwysep Bałkański to niby wielki skład materyałów palnych; lada iskra może w nim wzniecić pożar, którego bodaj całe rzeki wody przez dyplomacyę wylane ugasić nie zdołają.

A nie tylko Macedonia grozi stać się tą iskrawą; na Krecie ruch rewolucyjny przeciw Porcie wzmagają się z dniem każdym. Już i między Portą a Grecją z powodu tej wyspy wynikło nieporozumienie, Grecya bowiem odmówiła żądaniu Porty, która domagała się odwołania z Kandy trzech konsulów greckich, jako biorących czynny udział w manifestacyach antitureckich.

Czarnogórze zbroi się ciągle.

Zarzewia pełno wszędzie nagromadzonego; niech tylko lada wiatr dmuchnie, a płomień buchnąć może. Straż ogniowa europejska na wielkiej winna się mieć baczności.



601) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czy zwierzęta mogą się tak długo obejść bez pokarmu jak człowiek?

Do utrzymania organizmu potrzebna jest pawna równowaga, pewien stosunek między materyami pożywczemi weń wprowadzanemi a jego wydzielinami. Jeżeli stosunek ten szwankuje po stronie pierwszej, dają się czuć głód i pragnienie, wrażenia nieokreślone i niewytłumaczone, z których pierwsze ma siedlisko w żołądku, drugie w gardle. Zupełne pozbawienie pokarmów pociąga za sobą nagłe schudnięcie, w skutku pochłonięcia naprzód tłuszczu a następnie zaniku mięśni; głodny odżywia się samym sobą, trawi własne jestestwo przez dni kilka, ale niebawem zjawia się gorączka, delirium, wielkie rozdrażnienie nerwowe, a wreszcie, prędzej czy później—śmierć. Człowiek czy zwierzę traci wtedy dwie piąte części swego ciężaru. Jeżeli jednostka jest silna i tłusta, dłużej opierać się będzie. Rozwiązanie nastąpi też wcześniej lub później, według mniejszej lub większej ruchliwości ciała; można nieraz przez długi czas wytrzymać post, pozostając w względnej nieruchomości fizycznej i moralnej, oszczędzając się albo przyjmując w stanie płynnym pewne substancye, które obezwładniają organa, zmniejszają ich działalność, czego przykłady dali nam doktor Tanner i włoski Succì. Woda, zawierająca w sobie zawsze cząstki pożywne, pomaga także do zniesienia głodu, i to jest sposób, którego używa Merlatti; nieraz robotnicy zasypani w kopalni, długo opierali się śmierci, jedynie dzięki temu napojowi.

Można tu jeszcze przytoczyć fakirów czyli jogichów indyjskich, tych dziwnych ascetów, którzy tygodniami całami obywają się nie tylko bez pożywienia, ale nawet bez powietrza, każąc się zakopywać żywcem. Mieszkańcy Chili, Peru i starcy Kolumbii są w stanie długo znieść głód, ssąc liść rośliny koka.

Podajemy kilka cyfr, które nam dadzą wyobrażenie o tem, jak długo zwierzęta są zdolne opierać się głodowi.

Roślinożerne w ogóle słabiej mu się opierają niż mięsożerne:

Mięczaki 26 miesięcy, krokodyl 4, żmija, wąż 2—3. Wieprz 6—7 tygodni, pies 3—4, kot 15—20 dni, koń 12 dni—przy użyciu wody 30, królik 12—17, kret 3—4, mysz 3, lew 2—3, szczur 2. Wszystkie te zwierzęta, gdy mogą pić tyle wody ile zechcą, zdolne są wytrzymać dłużej.

W grupie ptaków cyfry są także bardzo zmienne. Orzeł może żyć bez pokarmu 35 dni, sęp 15, indyk, kaczka, gęś 5—6, a przy użyciu wody do 44 dni. Małe ptaszki: słowik, kanarek 24 godzin.

Co do pragnienia, cyfr niepodobna przytoczyć; są osoby które nie piją wcale, ale to jedzą dużo pokarmów wilgotnych, np. jarzyn, owoców i t. p.

Z pośród zwierząt, roślinożerne łatwiej znoszą pragnienie aniżeli mięsożerne. Barany, kozy, króliki, zające piją mało; psy, koty, lwy, wilki piją często. Ptaki żyjące się ziarnem piją więcej niż mięsożerne. Wielbłąd wytrzyma 4—6 dni bez picia. Gady piją mało. Przytaczają pewnego kota, który 19 miesięcy nie nie pił i pułchacz, który przez 18 miesięcy obchodził bez wody.

Nie mówimy tutaj o zwierzętach przysypiających zimę, jak niedźwiedzie, bobaki i t. p. Uważano, że one zasypiają wraz z porą zimową a budzą się dopiero, gdy nastąpi ciepła. Przez ten czas drzemia, nie jedząc nic i trawiąc same siebie; rzeczywiście zasypiają tłuste i silne, a przebudzają się chude i słabe.

602) PYTANIE: Czy pokarm mięsny dla zdrowia człowieka jest niezbędnym?

Ze skarbca prawd. Galon zdradza lokaja i mówi o jego zależności; w tym razie złoto jest na swoim miejscu.

R E B U S.



Rebus = N-ru 2. Rozum i pieniądze dają pewność człowiekowi.
Szarada z N-ru 46. Dar.

Nagrodę za właściwe rozwiązanie zadania z N-ru 52 otrzymali: p. Adam Wilczewski w Warszawie i p. Ludwik Morawski w Osmulinie, stacya Siedlce. Oprócz nagrodzonych, którzy rozwiązanie nadesłali najpierwsi, znajduje się pomiędzy niżej wyszczególnionymi kilku, którzy zadanie rozwiązali podług wzoru w Nr. 2; innych rozwiązania jakkolwiek dobre, na odmiennych jednak kombinacjach są oparte. Zastanawiające jest spostrzeżenie, że właśnie na wzór ten najmniej trafiło, chociaż prawie wszystkie inne kombinacje zostały użyte; układające zadanie wiedziały, która kombinacja jest najtrudniejsza. — A. Urbanowski, K. Stankiewicz, S. Plewiński, S. Esmont, J. Sieradzka, H. Poziomska, Mystkowski, F. Buchwitz, B. Walicki, L. Karpowicz, T. Grodecki, B. Nowiński, W. Zawistowski, A. Janiszewski, W. Marendowski, J. Barański, L. Rossudowska, W. Odlanieki-Pocobut, B. Osuchowski, J. Szafran, J. Zmieczorowski, D. Ziemiński, W. Blinkiewicz, R. Houwalt, Garczyński, W. Karwowski, W. Rosińska, L. Ożarowski, E. Koperski, S. Houwaltowa, B. Radomyski, W. Gajewski, O. Lewicki, F. Szumski, S. Altenberg, W. J., A. Orzechowski, Adamski, J. Milewski, C. Chodnikiewicz, J. O., F. Piętkowski, J. B., J. Rzepecki, E. Paszkiewicz, E. Kapeliński, B. Jeżewski, J. Łęczyńska, H. Pleniewicz, Luks, F. Dynakowski, K. Rzetkowski, S. C., P. Hutowicz, R. Wyszomirski, Ks. J. Ruszczyński, B. Krajewski, M. Hilferdingowa, Swietzianka, Krzyżański, Bobowska, K. Lityński, S. Dreling, G. Kaliska, E. Boryszewski, A. Zalewski, J. Gegznas, Ks. Bondini, K. C., Ks. M. Jabłonowski, P. Borotyński, P. Duder, L. Gluszycka, O. Korewicka, W. Kossuth, E. Czerkawski, M. Sadowska, A. Staszewicz, W. Koryciński, W. Szefer, S. Bajkowska, W. Klimaszewski, K. Papuryński, M. Ko-ewo, A. Sejdel.

Prudhomme pisał do swego syna:

„Naśladowaj naszych wielkich ludzi, każdy z nich uwiecznił swoje nazwisko w jakimś pożytecznym sprzęcie: Racine dał nam wyborną jarzynę; Moliere—piękny wodotrysk; Voltaire—wygodny fotel; Lamartine—ciepły szlafrok; Chateaubriand—smaczną pieczeń wołową i t. d. Nie z ich wielkości nie przepadał!”

— Czegoś ty Maniu dziś taka smutna?

— Bo i mama moja smutna.

— Czy się wam stało jakie nieszczęście?

— Mama mówiła, że z powodu ciągłych kłopotów straci zupełnie włosy.

— Ależ pociesz czempredziej mamę wiadomością, że i moja zgubiła wczoraj w powozie swój warkocz, ale furman znalazł go i odniósł. To wszystko zależy od uważnych służących.

Do kominiarza zaraz po Nowym roku.

— Mój bracie, musiałeś już chyba dwieście kominów w tym roku wyczyścić, taki jesteś oblepiony sadzami.

— To panie parafianka z roku przeszłego; obmyłem z siebie na święta kominów sto, ale sto jeszcze zostało.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Wzmocnienie włosów. Należy głowę zmywać wodą, do której dolano nieco alkoholu. Mycie takie odżywia skórę, czyści bowiem jej pory. Nie radzimy używać leków tak zwanych „niezawodnych”; szkoda na nie pieniędzy a zdrowie naraża się na niebezpieczeństwo.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

I ten tydzień dość pomyślnie zanotował się w kronice handlu zbożowego; w jednej Anglii, jako bezpośrednio ulegającej wpływowi dowozów z Ameryki i Indji, do tego wobec pięknego stanu ozimin, dążność osłabła i ceny poszły nieco na dół. Ale o Francji już tego powiedzieć nie można; ruch na tamtejszych rynkach wprawdzie był niewielki, z powodu postawy wyczekującej, jaką obie strony interesowane w handlu zbożowym przybrały, lecz usposobienie w ogóle było mocne i ceny dążyły do zwyżki. Niemniej korzystnie przedstawiały się rynki austriackie, a nawet w Niemczech dążność zwyżkowa zarysowywała się tu i owdzie silnie. W Rosyi większy ruch panować ma tylko na pszenięc kaskazką, której wywóz skierowany jest na Batum i Odessę. Na naszych targach widoczne także było wyczekiwanie da szęj podwyżki ze strony producentów; dowiedzieli mało i trzymali się w cenach, które też osiągnęły podwyżkę, mianowicie na pszenicy.

Giełdy wśród ciągłych zmian politycznych nie mogą przyjść do stanu normalnego i szerzej rozwinąć swojej działalności. Wystąpienie księcia Bismarka w parlamencie niemieckim, po którym wiele się spodziewano, nie objaśniło w niczem położenia a więc i na postawę rynków pieniężnych nie wywarło wpływu. Wachanie, ostrożność, oto całe ogólne zachowanie się ich w tych niepewnych czasach. Ruble na giełdzie berlińskiej trzymały się mniej więcej na poziomie, na którym stanęły w zeszłym tygodniu, gdy bowiem w przeszły wtorek stały 189.60, w ostatni stanęły na 190.20.

Warszawa, d. 19 stycznia 1887 r. 5½ Listy Zast. (za rs. 100) 101 20.—Listy Zast. ser. II lit. A. 101.20.—Listy Zast. ser. III lit. A. 101.20.—Listy Zast. M. W. I ser. 100.—Listy Zast. M. W. II ser. 99.50.—Listy Zast. M. W. III ser. 99.—Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.95.—Marka niem. kop. 50; złoty reński kop. 86; frank k. 42.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 7 k. 90.—Żyto rs. 5 k. 10.—Jęczmień rs. 4 k. 10.—Owies rs. 3.—Groch rs. 5 k. 10.

— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 23.—Żyto kop. 83.—Jęczmień kop. 89.—Owies kop. 85.—Groch kop. 90.—Gryka kop. 84.



To nie tylko bieda. (Amatorowi kwiatów w Warszawie.) Zapal jaki przez pewien czas mieliśmy dla kwiatów wystyg powoli, bodaj czy nie wystyg już zupełnie. Ogrodnicy skarżą się na małą sprzedaż doniczek z kwiatami i bukietów a na pierś mezkiej nikt już nie zobaczy kwiatowej rozetki. To nie bieda jest powodem tej obojętności ale nasze usposobienie szukające tylko chwilowej rozrywki i nowości; są to skutki naszego wychowania domowego, w którym nie nauczono nas w takich rzeczach szukać przyjemności, nie nauczono kochać szczerze kąci domowy i stroić go w dary przyrody dostępne dla skromnych funduszów. Paryż ma więcej stosunkowo ludzi biednych niż my ich mamy a jednak tam codziennie sprzedaje się fiołków samych za przeszło 75,000 fr., przeszło półmilionu bukietów rozchodzi się po salonach, pracowniach artystów, mieszkankach na poddaszach—między ludzi bogatych i ubogich ale wychowanych tak, że bez zapachu kwiatów, przypominającego wiosnę, obejść się nie mogą. Na balach publicznych i na balach w gronie rodzinnym, na weselach i pogrzebach, przy chrzcie i pierwszej komunii kwiaty są nieodzownym towarzyszem; ofiara jaką młoda dziewczę składa na ołtarzu za zdrowie matki, to także bukiet świeży u stóp Najświętszej Panny. Nie zwalajmy więc wszystkiego na biedę; takie uniwinienie to adwokat niebezpieczny — uspokoi on nasze obawy ale złego obyczaju z domu nie wyprosi.

Najlepszy sposób na szynkarzy. (P. Z. N. w Uściługu.) Rzeczywiście żyd szynkarz jest mistrzem; umie on zapomocą wódki z chłopca wycisnąć ostatni grosz, koszule i namówić go do ograbienia dziecka lub kościola, ale skutecznie z tydmi konkurują już także szynkarze chrześcijanie. W ogóle przemysł ten nie zgadza się z uczciwością, a trzeba rozróżnić szynkarzy dzisiejszych od dawnych tak zwanych oberżystów, pod których dachem można było spokojnie złożyć do snu głowę.—Dania dała wyborny przykład jak ukroczyć nadużycia szynkarzy; istnieje tam prawo, istotnie ojcowskie, a zawotowane przez parlament, podług którego pijak znaleziony na drodze będzie odniesiony do domu i w razie choroby leczony na koszt szynkarza, u którego wypił ostatni kielisek. Prawo to szynkarze starają się obejść w ten sposób, że parobkom swoim każą odprowadzać do sąsiedniego szynku podpiłego gościa, aby nie u niego ale u sąsiada wychylił ów ostatni kielisek nieszczęsny. Wszczęła się walka między szynkarzami, która wyjdzie na korzyść ludności; dla szczęścia naszych włościan podobna walka i nam byłaby na rękę

Post-scriptum.

P. K. w Charkowie. Byłoby nieuczciwością z naszej strony, gdybyśmy spełniając żądanie sz. pana przesyłali mu powieść Jerzego Borna. Spekulant ten, polujący na ciekawość tylko skandalem, żywa na przynęty także patriotyzmu, więc i na tytule powieści „Jan Sobieski czyli ślepa niewolnica z Sziras” dodał „wielki król polski”. Są to bajdy, których czytanie ubliża czytelnikowi inteligentnemu; inne powieści tegoż J. Borna nie tylko ubliżają ale i demoralizują jak najgorsze towarzystwo. Prosimy wybaczyć nam odmowę, ale złą książkę uważamy za taką truciznę jak arszenik, morfinę... nie możemy więc pomagać do występku. — Sz. ks. F. Markowski w N. Pogadanka tak szczerza jest dla nas najmiłszym noworocznym gościem. Widać służy zdrowie, kiedy siły stargane znośzą jeszcze odległe podróże do chorych. Do Ziemi świętej pielgrzymki stają się teraz coraz częstsze, i w r. z. odwiedziło kolebkę chrześcijaństwa kilku obywateli warszawskich i kilku włościan z prowincji; lecz o uorganizowaniu większego kółka pielgrzymów na ten rok nie słyszeliśmy. Rozumiemy tę tęsknotę do miejsc świętych; ktożby nie chciał ich zwiedzić, z niemi się rozmówić!

PRZEWODNIK.

Sz. przyjacielowi z Siarek. Za widok kościołka w Birsztanach uprzejmie dzięki; pomieścimy go, ale prosimy o jaką notatkę o jego dziejach. Sliczny to zakątek Boży! — Dr. Soltohub w R. Starac się będziemy aby pismo nasze popularyzując wiedzę stało się promykiem dostępnym dla maluczkich a przyjemnym dla tych, którzy się i ze słóncami naukowymi oswoili. Serdeczne pozdrowienie. — Sz. ks. A. Grzymała w Jadrynie. Najserdeczniejsze Bóg zapłać. Książki wysłane. — P. Marya Sorokowa z Tyflisu, p. Michalina Gruszecka ze Skibca, p. Klaudia Grodziecka, p. Tekla Gruzewska i sz. korespondentka z Jurkowszczyzny wołyńskiej. Szemata ze zjawiskami w świecie roślinnym wręczyliśmy redakcyi „Wszehświata”, która przesyła sz. paniom uprzejmie podziękowanie i prosi o równą gorliwość ile razy w innych kwestiach naukowych uda się znowu po pomoc. I my podpisujemy się pod tém podziękowaniem, powodowani także wdzięcznością Sp. — P. Edward R. Myśl zaena ale poezya wymaga świeżości, która jak rosa odświeża umysł czytelnika. Dzięki za sympatyę. — Ile ściegów tyle łez! (P. Onufra S. w T.) Wykrzyknik dobry dla dramatu ale

Palenie tytoniu dozwolone tylko w wagonach opatrzonych napisem „palić wolno”. W wagonie bez tego napisu nikt nie będzie mógł delectować się fajką lub cygarem nawet wówczas, kiedy wszyscy spółtowarzysze podróży udzielą na to swoje zezwolenie. — Wieże gazowe. (P. J. M. w Rewlu.) Warszawa lamp gazowych osadzonych na wieżach wcale nie posiada; kilka lamp na słupach wysokości jednopiętrowych domów a oświecających szylidy i wejścia do kilku restauracyi, gazowymi wieżami nazwać nie można. Wieże takie wchodzi w użycie w Ameryce i w Londynie, widać więc, że są praktyczniejsze niż lampy tuż nad powierzchnią ulic umieszczone. Miasta amerykańskie posiadają takich ognisk wieżowych przeszło trzysta, Londyn kilkanaście. Bliższe szczegóły znajdzie pan w sprawozdaniach towarzystw akcyjnych zagranicznych; wątpimy czyby się warszawski zakład gazowy chciał wdawać w korespondencyę dla zaspokojenia obywatela ciekawego ale nie inżyniera, ani przemysłowca. — Bazar Antoniński. (P. S. L. K. T. w Żyto-



Łódź papierowa.

nigdy dla matki, która pracując dla dzieci powinna być zadowolona, że ludzie dają zajęcie i otaczają spólcziem. Szycie cudzych koszul nie jest oczywiście tak przyjemnem jak ubieranie własnego czepeczka lub kapelusza ale żeby aż płakać przy każdym ściegu, na to trzeba bardzo słabego charakteru. Nie wierzymy w serce, które pozwala aby dzieciom zasypiającym brzmiały noc całą w uszkach szlochy i westchnienia ich matki, urodzonej w zbytkach, wychowanej w rozkoszy a teraz skazanej na pracę igłą i szydełkiem. Ubolewamy nad słabością charakteru ale pozwolimy sobie sprostować rachunek łez kąpiących po każdym ściegu — wypłacasz ich pani przez dzień nie milion, lecz najwięcej 19,400, bo tyle ściegów wymaga jedna koszula ze wszelkimi modnymi grymasami, a potrzebująca jednego dnia do wykończenia. Wybacz nam pani ten ton żartobliwy, ale z matką która mając zdrowie pracować nie chce — płakać nie będziemy.

mierzu.) Wiemy tylko o tém, że z inicjatywy hr. Alfredowej Potockiej ma być założonym w Antoninach wielki magazyn ze wszystkiem co jest niezbędne do gospodarstwa domowego: artykuły spożywcze, wyroby z żelaza i stali, wyroby garncarskie, skórzane i t. p. Kierownictwo powierzono specjaliście znanemu z uczciwości i pracy, lecz czy to będzie p. Roman K. czy p. Julian F. nie wiemy. Magazyn powinien położyć tamę szalbierstwu handlarzy, którzy sprzedają towar zły a drogo. — P. M. Szlachcianowski w Z. Dzieła ks. J. Gaume, 9 tomów, z przesyłką rs. 9 k. 35; pojedyncze tomy nie sprzedają się. — P. Sokółski w G. Oplacono do 1 lipca r. b. — P. A. Kolberg w Tylży. Warszawski Instytut głuchoniemych i ociemniałych, Plac S-go Aleksandra, n-r 5. — P. T. w Wilnie. „Bank państwowy szlachecki” nie obejmuje swą działalnością Królestwa Polskiego, Finlandyi i gubernij Nadbałtyckich.

Treść numeru 577 Biesiady Literackiej, ilustracyi warszawskiej: Z Warszawy. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.). — List z zakątka włojskiego, przesłał J. I. Kraszewski. — Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J. (d. c.). — Ślepy i kulawy. — Wystawa w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — Albano, rezydencya papieżka. — Świtez i Świtez (dokończenie). — Łódź papierowa. — Raptularz tygodniowy. — Syn tępicieła wilków, nowella (dokończenie). — Listy polityczne. — Czy zwierzęta mogą się tak długo obejść bez pokarmu jak człowiek? — Ze skarbca prawd. — Humorystka — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — Rysunki: Ślepy i kulawy. — Wystawa w Muzeum przemysłu i rolnictwa. — Albano, rezydencya papieżka. — Łódź papierowa. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: Maurytanka, arkusz 3.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Января 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy Władysława Maleszewskiego: Chmielna Nr 26.

Na tém ponurém tle migoce promyk weselszy: młodzież spojrziała mądrze i uczciwie na los rolnych oficyalistów. Studenti instytutu rolniczego w Nowej Aleksandryi, jako przyszli rolnicy nie mogą być obojętni na los tych, których niezadługo staną się przełożonymi albo kolegami; zebrałi oni rs. dwieście i złożyli redakcyi „Gazety rolniczej”, przeznaczając je na nagrodę konkursową za dzieło o najpraktyczniejszych sposobach polepszenia losu stałej służby folwarcznej, oraz o zapewnieniu oficyalistom i ich rodzinom bytu w razie starości lub kalectwa.

Dajże Boże, aby copredziej z młodzieży téj wyrosli pracownicy samodzielni na swoim lub na cudzém; zerwą oni z systemem, który może przysporzyć dochodu ale równocześnie ludzi pożytecznych rzuci w objęcia rozpacz, która w parze chodzi ze zbrodnią i niedołęztwem.

Znamy ludzi, którzy całe swoje fortuny przegrali w karty lub w inny sposób a równie niegodny przemarnowali, aleśmy nie spotkali w życiu obywatela, któryby wyprawiał owacya lotrowi. Łotr ten to Michał Belino-Brzozowski, skazany na więzienie przez sąd w Saratowie, potem w Wilnie i Mińsku, za fałszowanie weksli, plenipotencyi i t. p. nadużycia.

Wiadomość z Mińska o uczcie w celi więziennéj, o owacyi wyprawionéj niegodziwcowi przez obywateli z nazwiskiem znaném, z fortuną rozległą — ogłuszyła nas na razie; trzeba było bardzo poważnych dowodów zanim w nią uwierzyliśmy. Nazwiska tych obywateli mamy przed oczyma, czytamy je, odczytujemy i przypominamy sobie, żeśmy je spotykali w życiu społeczném, w sprawach ważnych, nawet honorowych. Wszak i nazwisko Brzozowskiego nosi dużo ludzi uczciwych, wszak i on sam pochodzi z rodziny szanowanéj.

Ci, którzy pijatyką i wiwatami uczcili więźnia, wynieśli na swojej dłoni, na swoich ustach zarazę nikczemności; zarazek ten przyjął się już w sereu ich dzieci i zgangrenował je. Czekajmy a cela, którą opuści Brzozowski, zapelni się synami tych, co go pocieszali.

Publiczność nasza zna lepiej autorów kilku nowelek, kilku felietonów, jednéj farsy scenicznej niż d-ra Adama Belcikowskiego, który literaturę polską zubożył pięknymi dziełami fantazyi i pracami naukowemi, który gdyby chciał zebrać to wszystko co porosypywał był po książkach, broszurach i dziennikach, to mógłby z czystém sumieniem powiedzieć: napisałem dosyć, już czas spocząć! Ale on nie spocznie; nigdy nie rwał się, nie gorączkował, nie gonił za rozgłosem ani zarobkiem — ma też za to sutą nagrodę: szacunek i miłość kolegów, uznanie społeczeństwa, ma i siły dzielne, nie stargane w gonitwach za blaskami, będzie więc pracować dalej z ochotą młodzieńczą, pracować dla dobra literatury, której całe życie poświęcił.

Ćwierćwiekowe zasługi pracownika cichego uczcili koledzy w krakowskiém kole literackim; na téj uczcie nie było nas, ale szanowny, kochany jubilat wie dobrze, że i pomiędzy kolegami warszawskimi ma przyjaciół, których tylko to chyba gniewa, że nie mieli nigdy sposobności przypiąć nawet najmniejszej łatki panu profesorowi.

D-r A. Belcikowski był tylko przez chwilę redaktorem i profesorem, jest tylko docentem... więc tylko przelotnie zajmował stanowisko wodza — resztę życia stał w szeregach żołnierzy; a jednak na tym posterunku nie zniechęcił się, nie zgorzkniał, nie zazdrościł tym, co zarobioną lub uzurpowaną buławą przewodzą opinii. On i dziś jak przed kilkudziesięciu laty pocziwym uśmiechem odprawia wszelkie próżności; dziś jak dawniej wyciąga rękę przyjacielsko nie do znakomitych ale do pocziwych i miłujących prawdę. Zapewne w swéj skromności rumienił się, kiedy mu koledzy prawili w oczy szczere pochwały, które rozpoczął wymowny i serdeczny kapelan koła ks. kanonik Polkowski.

Do wspomnienia o jubileuszu, któremu pobłogosławił kapłan, przystanie doskonale wiadomość o zasługach ks. Wiktora Słowakiewicza, którego parafianie Józefowa Ordynackiego żegnali w tych dniach z rozrzewnieniem, błogosławiąc mu na drogę do Siedlec.

Czytamy nieraz o nadzwyczajnej odwadze, jaką się odznaczają ludzie napadnięci; bronić swego to rzecz naturalna ale rzecz trudniejsza głowy nadstawiać w obronie dobra bliźniego, w obronie skarbu należącego do społeczeństwa; ksiądz wikary swego nie posiadał nic lecz strzegł ofiar złożonych przez parafian na budowę kościoła. Napadnięty na plebanii przez złoczyńców, naraził swe życie, jednak skarb uratował.

Zaledwie przed czterema laty ks. kanonik Trębiński, proboszcz miejscowy, spółnie ze swym wikarym zabrali się do wzniesienia świątyni — dziś Józefów Ordynacki posiada kościół piękny, obszerny, prawie cudem z ziemi wyrosły. Duszą pobożnego dzieła byli obaj czcigodni kapłani, ono do nich należy; ksiądz wikary jako młodszy był prawą ręką plebana, prawie nie schodził z placu budowy, dozorował przez całą wiosnę i lato a kiedy zima roboty przerwała — kapłani zbierali nowe składki i w plebanii radzili, jakby to najpiękniej a najtaniej kościół wykończyć. Ież tam było nadziei, ile westchnień, ile zwątpienia jeżeli narzekaniami na złe czasy napelnili plebania sąsiedzi... ale narady kończyły się zawsze otuchą, że kościół bądź co bądź stanie. Była to narada wojenna, z której anioł śmierci się smucił, bo nie widział rannych ani konających, ale się zato anioł wiary radował, kiedy wiosenne słońce ozłociło krzyż, co wyrósł na kościelną wieżę.

Ser.

HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

V.

Scenie téj przypatrywał się świadek, którego nie widziano: był to pies gończy z brunatnymi płatkami. Sparł się łapami na oknie i przez szybę patrzył do wnętrza pokoju; pocziwe oczy jego uśmiechały się do Heluni i wpatrzyły się w białą rączkę, która nieraz karmiła go łakociami.

To Hulaj ulubiony pies pana Józefa; prawie zawsze towarzyszył mu do dworku, żaden postronek nie utrzymał go w domu, gdy pan jego wyjeżdżał.

Zkądże się wziął dzisiaj? Czy wyprzedził pana, który za chwilę w dworku się zjawi? Czy zapomniano o nim i jeść w domu nie dano? Czy głodny żebrze u Heluni kawałka chleba?

Hulaj nic nie powiedział. Patrzył jakiś czas przez okno do gościnnego pokoju, potracił kilka razy łapą szybę, zaskomlił nawet smutno — ale nikt go nie widział, nikt nie słyszał.

Smutny odstąpił od okna i zaczął wachać ślady ludzkie po ziemi. Czy szukał śladów swego pana? Gdzież mu się podział? Na jakich nieznanach drogach znikł z jego oczu? Co go na te drogi zaprowadziło?

Z nosem przy ziemi okrażał Hulaj cały dwór dokoła; zbacał na lewo i na prawo, ale śladów swego pana nie mógł znaleźć. Widocznie nie było go tu dzisiaj — pojechał gdzieś indziej.

Już chciał Hulaj do domu się wrócić, gdy nagle powąchał zdeptaną trawę i krętą ścieżką do ogrodu podążył. Na ścieżce były ślady, ale nie świeże; splukał je deszcz i wiatr liściem zasypał. Mimo to szedł pies za tym śladem, odgartując nosem naleciałe liście; wreszcie zatrzymał się, bo tu ślad się kończył. Przed nim była altana bluszczem ocieniona; zaczął węszyć powietrze i wszedł do niej. Widocznie był tu niedługo pan jego, siedział na ławce przed okrągłym stolikiem...

Hulaj obwąchał ławkę i stolik dokoła, ruszając na znak radości ogonem, jakby pana swego już znalazł. Sparł się łapami na ławkę, spojrzął na stół—pana niema nigdzie. Hulaj zawył, a gdy mu nikt nie odpowiedział, spuścił nos do ziemi i poszedł dalej.

Kilka razy obszedł ogród dokoła a na drodze za furtką stał się jakoś weselszy. Ubiegł wężykiem kilkadziesiąt kroków a zaszczekawszy wesoło, puścił się prostą drogą.

Biegł teraz cwałem, tylko od czasu do czasu przyłożył nos do ziemi, aby się przekonać, czy nie zmienił kierunku. Biegł tak jedną godzinę i drugą. Drogi krzyżowały się nieraz ale Hulaj nie pomylił się; czuł zawsze, że idzie dobrze, wiedział, że jego pan tędy jechał.

Na schyłku trzeciej godziny stanął Hulaj u celu. Przez bramkę, na czerwono pomalowaną, wszedł na obszerny dziedzińiec. Przed nim wznosił się gustowny pałacyk z wieżyczką na jednym skrzydle. Nad balkonem, otoczonym oleandrami, spuszczająca się szara markiza; przed balkonem roztaczał się owalny gazon z grupami róż, goździków i bratków; na samym środku rozpościł się dywan z żywych kwiatów; po obu stronach piętrzyły się rozmaite krzewy, zasłaniające budynki gospodarskie.

Hulaj obszedł gazon dokoła i zatrzymał się pomiędzy oleandrami pod balkonem. Na balkonie siedziała młoda blondynka o niebieskich oczach; miała białą suknię ubraną niebieskim atłasem; trzymała w białych paluszkach cieniutki papierosik. Na fotelu siedziała starsza nieco kobieta, dosyć dobrej tuszy. Rozmowa toczyła się przeważnie po francuzku.

— Nie wiem, moja droga, czy to dobrze będzie — mówiła starsza — zawsze jest to pewne ryzyko.

— Czy myślisz pani o tych milionach w kasie bankiera wiedeńskiego? — zapytała wesoło blondynka.

— Myślałam o panu Karolu.

Blondynka ruszyła białemi ramionami.

— Alboż ja temu co winna? Jeżeli ktoś sobie w głowie coś uroi — to cóż robić?

— To prawda, ale ztąd powstają różne plotki.

— Na plotki przecież zważać nie można, a zresztą któż te plotki powtarza? Ludzie, których ja nigdy nie widziałam i nigdy z nimi mówić nie będę.

— Czy to prawda, co mówi pani Eugeniuszowa?

— Tyle tylko, że brał udział w naszej konnej wycieczce, bo też trzeba przyznać, że jeździ wyśmienicie. Chcieliśmy rów oboje przesadzić, a gdy mój Byron nieco się potknął, p. Karol podał mi rękę, abym równowagi nie straciła.

— A potem?

— Cóż potem?... potem... pocałował mię w duńską rękawiczkę. Oto wszystko!

— Pani Eugeniuszowa słyszała, że ci się oświadczył.

— Zwykle frazesy, jakimi się bawimy nie tylko na łonie natury, ale także i w salonie przy matkach i ciotkach.

— Widać, że pan Karol inaczej to sobie wytłumaczył.

Blondynka zaciągnęła się papierosem.

— To już nie moja wina!

— I zkadże mu przyszło szukać awantury z panem Józefem?

— Myślał zapewne, że tém serce moje podbije, kiedy uśmierci szczęśliwszego rywala.

— Tak obojętnie mówisz o tém, Aurelio?

— Ani jeden ani drugi nie obchodzą mię wiele; jeszcze żadnemu z nich nie obiecałam mojej ręki. Wprawdzie jest tatko stanowczo za panem Józefem, ale na to składają się różne względy, które są dla mnie obce. Dzisiejsze stosunki kraju pozwalają dobić się różnych stanowisk, do których wiąże się dawna nasza tradycja. Tatko poczuwa się także do swoich obowiązków i chce zbliżyć się do tych, których głosy w powiecie coś znaczą. Bez szeregowców oficerowie nic nie robią.

— To prawda — o szeregowcach zapominaliśmy dosyć długo; dobrze, że nasz błąd poznajemy.

— Mnie te względy nic nie obchodzą. Pan Józef Strzemie nie jest znowu ostatnim szeregowcem; ród stary, spokrewniony z senatorami; dotego powierzchowność sympatyczna i światowa. Gdy się wżyje w nasze zwyczaje i obyczaje, będzie skończonym gentlemanem.

— Nie przeczę temu.

— Ojciec mówi, że pan Józef traktuje o kupno klucza Sosnowieckiego. Rozumie się, że przed tém ani myśleć o deklaracji. Dziwnieby to dzisiaj wyglądało, gdyby się rozniosło, że panna Aurelia wychodzi za panem Józefem z Olszynki, ale niech pan Józef nabędzie Sosnowiec z parkiem i pałacem, niech pałac odrestauruje i stosowną służbą go napelni... wtedy nawet pani Eugeniuszowa ze słodziutkim uśmiechem poda mi dwa palce i rzeknie: Jakaś ty śliczna!, a o panu Józefie powie: To chodząca dystynkcja!

Nastąpiła pauza.

— Gdyby tylko nie przyszło do pojedynku. Pan Karol chce go zapewne nastraszyć.

— Nie radzę mu, żywo odpowiedziała blondynka. Nie dawno znam pana Józefa, ale wiem, że przed nikim nie ustąpi. Głośną jest w okolicy drażliwość jego w sprawach honoru, a blizny na czole świadczą, że się szablą i kuli nie boi. To właśnie najwięcej mi się w nim podoba; to oznacza dobrą krew.

Kilka chwil trwało milczenie. Blondynka bawiła się sinym dymkiem cygareta, który jak wąż pajęczyna okręcał jej piękną główkę, napelnioną złotemi marzeniami. Błękitne jej oczy ściagały pajęczynę, która rwała się i napowrót wiązała w łańcuch misterny; wietrzyk szanował te ogniwa.

W powietrzu była cisza. Hulaj spokojnie leżał pomiędzy oleandrami, tylko od czasu do czasu strzygł uchem, czy nie usłyszy na balkonie głosu swego pana. Był pewny, że tam jest, bo czuł wyraźnie na ziemi świeże jego ślady, a gdy mu już za długo się wydawało, zaskomlił raz i drugi.

Biedny Hulaj! Usłyszał go ogrodniczek i z długim kijem pospieszył pod balkon.

Pies spojrzął na niego z zadziwieniem. Przedwcześniej dopiero ten sam ogrodniczek pogłaskał go, a przed jego panem zdjął czapkę aż do ziemi; dzisiaj wypędzają go a nawet grożą kijem...

Hulaj, jako doświadczony strategik, wytrzymał na placu aż do granicy niebezpieczeństwa. Gdy kij mógł go już osiągnąć, zerwał się na nogi, szczeknął kilka razy na znak protestu i wybiegł klusem za niegościnną bramę.

Blondynka usłyszała szczekanie i wyjrzała z balkonu.

— A! to pies z Olszynki—zawołała—dziwna rzecz, był tylko raz z panem Józefem, a już się znęcił tutaj. Trzeba Pawelku, abyś go dobrze obil, inaczej będzie robił szkody w ogrodzie.

Ogrodniczek Pawełek chciał jeszcze teraz życzeniom panny Aurelii zadość uczynić i cwałem puścił się za bramę ale Hulaja już nie dopędził. Skończyło się na kilku kamieniach, które jednak psa nie trafiły.

Gdy już Hulaj był za linią nieprzyjacielską, zatrzymał się i spojrzął na czerwony dach pałacu. Zapewne zastanawiał się nad tém, dlaczego w górskim dworcu pana Jędrzeja nikt na niego kija nie podniósł, a tu chciano targnąć się na jego szacunek, jaki posiadał u wszystkich psów w okolicy.

Nie długo jednak zastanawiał się nad tém, bo mu pilno było do swego pana. Zakreślił się w kółko i zaszczeknął radośnie: znalazł znów ślad tak świeży, jakby dopiero przed godziną ktoś tędy jechał. Cwałem puścił się, naszczekując wesoło od czasu do czasu.

Droga była szeroka i dobrze utrzymana; środkiem wyrzynała się kolej świeżo kutego wózka o wystających gwoździach. Hulaj znał dobrze te gwoździe i podskakiwał z radości, że już teraz pana znajdzie. Czasami tylko gdy jaki pastuszek kamieniami za nim rzucał, ogarniał go jakiś niepokój; ludzie są czasem źli, a pana jego może takie same spotkać nieszczęście, jakie spadło na niego w tej chwili.

Droga szła dalej doliną po nad potokiem, ale tuż pod figurą skończył się ślad wózka. Hulaj zatoczył szerokie koło, skręcił się pod figurą na wąską, leśną drożynę; znał tę drożynę, bo często bywał tu z panem swoim na polowaniu. Pędem pobiegł w znane mu dobrze krzaki.

Nie omyliło go przecucie. Usłyszał dwa strzały i zaczął strzydz uszama; po chwili puścił się w kierunku strzału.

Po nad potokiem leżała mała polanka. Na polance było kilku ludzi; dwóch z nich stało o dziesięć kroków naprzeciw siebie, trzymając w ręku pistolety.

Hulaj poznał swego pana; kilkoma susami był na jego piersi. Zaskomlił przeraźliwie z radości, oblizał mu ręce i już chciał skarżyć się ze wszystkich utrapień swoich, które go w drodze spotkały, gdy nagle ujrzał przeciwnika, który pistolet do góry podnosił. Z wściekłością rzucił się na niego.

— Zastrzelić psa! — zawołał jeden ze świadków.

— Wara panowie! — krzyknął pan Józef — kto do psa strzeli, ten zemną strzelać się będzie. Hulaj do nogi!

Zajadły pies umilkł jak baranek a przyczołgawszy się do pana, legł u nóg jego.

Pan Józef spojrział groźnie na przeciwnika; miał twarz czerwoną, żyły na czole wypreżone. Postawa jego oznaczała dumę i odwagę; blizna na skroni nabiegła krwią, jakby się chciała na nowo otworzyć.

— A więc strzelamy! — zawołał podnosząc zabójczą lufę do góry.

Dwóch świadków weszło pomiędzy walczących.

— Zdaje się — przemówił jeden — że dla honoru już dosyć uczyniono. Strzały na dziesięć kroków wystarczają; chybiły szczęśliwie, a teraz podajcie sobie ręce.

— Tego zdania i ja jestem — dodał drugi.

Pan Józef spojrział na przeciwnika. Był to błądy młodzieniec o płowych włosach; patrzył na pana Józefa z pewnym uśmiechem sarkastycznym, jakby się dziwił zkąd w nim taka odwaga.

Podrażniło to pana Józefa; zawrzała w nim krew, a silna ręka zadrzała z pistoletem.

— Nigdy nie strzelałem się tak, abym ja, albo mój przeciwnik cały z pojedynku wychodził. Strzemie to klejnot nie gorszy od Sasa! Za marne życie nie sprzedaje się takiego skarbu; proszę o komendę do strzału.

— Zważ pan, że masz narzeczoną!

Twarz pana Józefa poczerwieniała jeszcze mocniej, ściśnięte usta zadrgnęły kurczowo.

— Nie chodzi tu o narzeczoną — odrzekł chmurnie — ale w ogóle o honor kobiety. Każdy powinien jęj bronić gdy usłyszy słowa obrażające. Proszę o komendę do strzału!

— Ależ pan Karol wcale jęj nie obrażał — odparł jeden ze świadków — tylko sam pan widziałeś w tém ubliżenie.

— Wygląda to tak — dodał drugi — jakby w intencji pana było koniecznie się strzelać.

— Taka sama intencja — zauważył trzeci — mogła być po stronie pana Karola.

— Więc strzelajmy się!

Świadkowie odstąpili na bok, przeciwnicy podnieśli broń do góry; Hulaj położył łeb na ziemi, śledząc uważnie przeciwnika.

Pan Józef strzelił pierwszy — w tęg chwili pociągnął przeciwnik za cyngiel...

Hulaj odgadł jego zamiar i jednym susem podskoczył do góry...

Padł strzał... biedny pies zatoczył się i runął u nóg pana.

— Strzał był celny — zawołał jeden ze świadków — ale pies schwycił go.

Pan Józef spojrział na psa, który w bólach śmiertelnych leżał przy jego nogach. Nie skarżył się jednak, nie skomlił; wlepił w pana pocziwe czarne oczy swoje, w tych oczach jaśniała nawet radość, że mu życie ocalił. Kochał on wiernie pana swego i dzisiaj kona u nóg jego. Biedny Hulaj!

— Pocziwe psisko — zawołał pan Józef z głębokim smutkiem — wierny Hulaj!

Pochylił się nad psem i pogłaskał. Hulaj poczuł ciepłą rękę i chciał zaskomlić z rozkoszy, jaką uczuł w tęg chwili, gdy nagle kurcz śmiertelny wypreżył mu nogi, a światło czarnych oczu zaczęło przysasać. Jeszcze raz otworzył je, przycisnął łeb swój do ręki pana i zadrgnął po raz ostatni...

Łzy zabłysły w oczach pana Józefa... podniósł się szybko od ziemi.

— Strzał ten był nieważny — zawołał ponuro — miał mnie trafić, ale pocziwy pies przeszkodził. Strzelajmy na nowo!

Daremne były perswazyje świadków, zapaśnicy stanęli znowu do walki. Widoczném było, że właściwe powody pojedynku sięgały głębiej niżeli o tęg na placu boju mówiono.

Powtórzone strzały tym razem nie bez skutku; obaj zapaśnicy odnieśli lekkie rany: jednemu drasnęła kula rękę, drugiemu nogę.

Uznano spór za skończony i rozjechano się. Na placu boju pozostał tylko pies z otwartymi czarnymi oczyma, któremi zdawał się patrzeć na słońce zachodzące. Kilka leśnych ptaków siadło na gałęzi poblizkiej sosny i ciekając smutno, przypatrywało się nieznanemu bohaterowi; polne dzwonki wychyliły się z trawy ku niemu a z wszystkich stron polanki wyruszył rój grabarzy, aby nieboszczykowi sprawić pogrzeb przyzwoity.

W powietrzu była cisza uroczysta, tylko strumyk górski mruczał po kamieniach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAKŁADNICY LWOWSCY (1672).

PRZEZ

D-ra Antoniego J.

(Dalszy ciąg.)

Tego dnia jeszcze zażądał Kapłan basza, by się stawilo dwunastu obywateli w jego obozie jako zakładnicy; dobrowolna ich niewola trwać winna do uiszczenia się patrycyuszów z zaciągniętego długu, wynoszącego, jak to już wiemy, 75,000 talarów. Przebiegły dowódca muzułmański oznaczył nawet skład osób, mianowicie: dwóch kapłanów, dwóch obywateli do nacyi ormiańskiej należących, dwóch rusinów, tyluż izraelitów i czterech polaków. Komisarze na księży przystać nie chcieli — na co nastąpiła zgoda ze strony nieprzyjaciela.

I znowu kasztelan woliński stawil się w ratuszu ze smutną nowiną; zwołano posiedzenie, a on tymczasem zajął się lustracją siły zbrojnej — „w cekhauzie był, rewidował działa i inną broń, porządek dobry wszędy i ostrożność znalazł, za co komendantowi dziękował i, za szczęśliwém powróceniem, królowi imci opowiedzieć i zalecić przyobiecał”. Na ratuszu tymczasem odbywały się sceny bolesne, stawilo się pospólstwo i patrycyat wszystkich w obrębie murów obecny, gwar był niesłychany, bo i kobiety rozplakane znajdowały się w tłumie. Zimorowicz zagaił posiedzenie, krótko a zwięźle powiedział, czego żądają władze tureckie; dziesięciu tedy obywateli winno się poświęcić, ale że to *pro publico bono*, więc niepłonną ma nadzieję, iż ochotników znajdzie, chcąc zaś dobry dać przykład, swoje powolne służby ofiaruje. Cisza zaległa izbę, jak makiem siał, nareszcie jeden z obywateli przemówił:

— Zastarżyscie, wypoczynek wam się należy, a i zdrowa rada miastu potrzebna; znajdą się inni, ci właśnie, którzy hańbie nas opuścili w nieszczęściu.

— Tak, tak — zawtórował tłum — p. Anczowski primus, p. Anczowski nie dotrzymał placu, p. Anczowski niech idzie! Wówczas d-r Andrzej Szymonowicz zabrał głos.

— Pan burmistrz jest moim teściem, nieobecny on teraz, a czekać na jego przybycie, nie wiem czy nam pozwoli nieprzyjacieli; spodziewam się, że nic nie będziecie mieli przeciw temu, jeżeli jego miejsce zastąpię?

— Zgoda, zgoda! — zawołano.

Przyszła kolej na Studnickiego ławnika i także kędyś „w dezercyi”, a że wiekowy, więc młodociany syn go wyręczył; w końcu ofiarowali się Andrzej Dobrycz i Edward Nenke — cechmistrze, a wszystko jako reprezentanci polskiej narodowości; ormiańską nacyą przedstawiali — nieraz już wyżej wspomniany Gabryel Bernatowicz i Jakób Jaśkiewicz, z koła rusinów Stefan Laurysiewicz i Piotr Affendyk, pochodzenia serbskiego, oddawna w mieście zamieszkały kupiec. Dodano i dwóch izraelitów, których nazwisk nie znamy.

Dzień tylko jeden mieli do uregulowania własnych spraw i do nacieszenia się z rodziną, którą może poraz ostatni żegnali. Wszak poświęcenie i wielkie i piękne. Wprawdzie komisarze przyrzekli, że Rzeczpospolita pamiętać będzie, by im w niewoli nie zbywało na niczém, będzie pamiętać o ich żonach

i działwie, a wszelkich starań doloży, by okup jaknajprędzej złożono. Dobrowolni więźniowie prosili o jedno — żeby ich w Kamieńcu zostawiono, i na to się zgodził Kapłan basza bez protestu. O świtanie, 6 października, ze skromnymi tobołkami, jakby pokutujący pielgrzymi, stawili się w obozie tureckim, który się już podnosił do odwrotu. Złożyli przysiężenie wobec sekretarza baszyńskiego, że nie będą próbować ucieczki, dodano im więc straż honorową i wielbłąda dla dźwigania ubogich zapasów, jakie mieli z sobą, na tę choć krótką ale uciążliwą drogę.

Pierwszy dzień po rozstaniu z blizkimi upłynął spokojnie, panowie komisarze odbywający z zakładnikami wspólną wędrówkę mieli o nich staranie. Znajdowali się w orszaku starszyny tureckiej, gdzie jaki taki porządek panował; Kapłan basza jechał pod trzema buńczukami, za nim zaraz, pod chorągwią, podskarbi nadworny i kasztelan wołyński z dworzany, a pośród nich przytulili się i lwowscy obywatele. Nocowali w szczerem polu pod Miklaszowem, a choć to była jesień, ale nad podziw ciepła i pogodna; zmierzch przynosił pożądaną ochłodę, a we dnie żołnierze przy łada strumienia zatrzymywali się, pławiąc konie, nawet sami używali kąpieli. — Nazajutrz przyszło się rozstać z dygnitarzami polskimi, bo ci, z racji braku pożywienia, skierowali się w bok, spiesząc do Buczacza, do kwatery cesarskiej.

Nasi biedakowie zostali sami, na głód i niewczasy narażeni, bo choć im wydzielano racje mięsa i ryżu, ale skąpo i nieświeżo; patrycyusz do wygodnego przyzwyczajenia życia, musieli kucharzować sami, a o drewna dla rozłożenia ogniska trudno im było, chleba znikąd, piwo — choć po dwanaście groszy garniec, niezwykle drogo na one czasy — ale gorzkie i niesmaczne. Powiększała okropność niewoli nieustanna w obozie gwarliwość i nieporządek, dokoła pustka — jak okiem sięgnąć ani źdźbła zieleni, domy rozwalone, tylko poczerwiałe ich ściany sterczały; nocą ognie wsi kędyś daleko płonących; na świtanie wpadające czambuły tatarskie z dzikim, przejmującym trwogą okrzykiem, a z czambułem zwykle moc więźniów wleczonych na powrozach, wylękłych, wynędzniałych, upadających z upływu krwi i ze znużenia, gromady dzieci oplątanych sznurami, piękne i młode niewiasty uwiązane do koni, niejedna nieprzytomna, ze zwieszoną głową, zmiatająca proch z gościńca bujnym rozpuszczonym włosiem... a potem te egzekucje doraźne, wykonywane na dowódcach zdobytych zameczków i ich żołnierzach! Co rano, przed rozpoczęciem ciągnięcia, na prędce przed namiotami starszyny urządzano bazar, rodzaj rynku, kędy można było dostać na wagę złota trochę maki, przegniłych owoców, sporo kosztownych sprzętów i pokaźniejszych białogłów. Kobiętami handlował na wielką skalę tatar litewski, Kryczyński; uchodziły one pod firmą branek kamienieckich, choć snadno się było przekonać, że wiejskich jasnowłosych pośród nich piękności znajdowało się niemało. Zakładnicy poznali na owym targowisku ludzkim kilka współobywatelek ze Żwańca, ale wykupić nie było za co, choć molestowały niebożątka; poszły pomimo płaczu i narzekań do haremów bejowskich i baszyńskich.

Ciągnęli więc leniwo ku południowi, mając drogę uslaną padłami zwierzętami, ledwie 15 października stanęli pod Buczaczem; tutaj „Kapłana baszy wojsko oraz hana krymskiego przymknęło się do obozu” (*). Nigdy tylu razem zebranych żołnierzy nie widzieli nasi lwowianie, namiotów na dziesiątki tysięcy i to pięknych a kosztownych, całe stada wielbłądów, bawołów, koni i bydła moc nieprzeliczona, ruch nieustanny dzień i noc, dygnitarze tureccy, tatarscy, kozaccy, wołoscy na czele orszaków licznych przesuwali się przed wzrokiem znużonych zakładników, spokoju zaznać nie mogli, choć ich tu znowu panowie komisarze swoją okolili opieką.

Zaraz po przybyciu do Buczacza, znowu kwestyą okupu lwowskiego podniesiono, wraz z innymi pretensjami i pieniężnymi, zwanymi przez grzeczność upominkami, choć w gruncie ciężką kontrybucją były; szło o oznaczenie terminu opłaty — „ztań siła hałasu” i nieporozumień drażliwych, stanęło jednak, że Rzeczpospolita wypłaci należność za pół roku i to 75,000 lewkowych a nie bitych, więc o połowę zmniejszono haracz, bo

lewkowe talary reprezentowały wartość trzech złotych, kiedy bite do ośmiu złotych dochodziły w tym czasie okresie.

Ustępstwa wywołało nie tylko pośrednictwo obdarowanych dygnitarzy tatarskich i tureckich, nie tylko obawa zbliżającej się jesieni, ale szczęśliwe popisy hetmana Sobieskiego, który wieszał się na skrzydłach armii nieprzyjacielskiej i strasznie nękał czambuły tatarskie. Błyskawiczne zwycięstwa pod Krasnobrodem (6 października), pod Narołem (7), Niemirowem (8), Komarnem (9), Doliną (10) i Kałuszem (15), wyzwolonych przeszło 65,000 jeńców, wyciętych w pień drugie tyle rabusiów, trwogą przejęły dotąd szczęśliwych zaborców; przedarły się te niepokojące wieści nawet do namiotów sułtańskich, to też han by przekonać padyszacha, że dostateczną jeszcze ilość wojska posiada, zebrał swojej hołoty 60,000 i przedelfował na jej czele wobec starszyny tureckiej.

Jeden ze znajomych lipków, co to niby niechętnie oparł się wśród swoich jednowierców i zdradził dawną ojczyznę, czysto prowadził rozmowę z d-rem Szymonowiczem, bo inni wzdrali się wchodzić w konszachty „z przedawczykiem”; otóż od niego patrycyusz lwowski dostawał języka i zasłyszał o tryumfach Sobieskiego. On to powiadał o sprzeczce między Kapłanem baszą i hanem, bo kiedy ostatni utrzymywał, że niebezpieczeństwa w tych powodzeniach hetmana nie widzi, wówczas wódz turecki zaprotestować miał i zawołał: przebudził się lew, zgarutuje was do kupy, a potem w tej kupie wydusi; nie chce ja kompanii takiej, bo mogę głowę nałożyć... Łatwo zrozumieć, że podobne historie, powtarzane przez żołnierzy otomańskich, musiały demoralizująco na nich oddziaływać.

Już tedy 20 października rozpoczęto odwrót ogólny, przez Jagielnicę teraz turecką, około Krzywca, w dni cztery, stanęły główne siły pod Żwańcem; tutaj Halil basza, nowy komendant Kamieńca i gubernator świeżo do Turcyi wcielonego zaboru, miał posłuchanie u cesarza, a potem konferencję z komisarzami u Czausza baszy. Do jego orszaku wcielono zakładników, nie zwrócił nawet na nich uwagi, jechał zamyślony i markotny, chciało mu się Lwowa koniecznie i Ruskiego województwa... Pod murami kresowej warowni pożegnali dobrowolni więźniowie delegatów królewskich, prosząc by ich mieli we wdzięcznej pamięci i rychło wykupili z niewoli.

W bramie zamkowej czekał na nich dawny przyjaciel, p. Kacper Butachowicz, ormianin; jeden z zamożniejszych kupców kamienieckich, stojący na czele miejscowej gminy, ta bowiem zbyt ufająca obietnicom nowych panów, a gorąco do skał rodzinnych przywiązana, nie ruszała z miejsca, licząc na to, że w ten sposób użyteczną być potrafi i dawniej swojej polskiej ojczyźnie. Przybysze spotkali na ulicach niemało snujących się lipków i Turków, niemało żołnierzy polskich i czeladzi gwałtem tu zatrzymanej i, jak wiemy, w rychłe „poturmaczonę”. Gospodę im wyznaczono w rynku laskim, u słusznego gospodarza, któremu zlecono dozór nad zakładnikami. Po długich ośmiu dniach trudów, trosk i trwogi, odetchnęli swobodniej; choć się znajdowali w granicach świeżo rozrosłego państwa otomańskiego, ale zawsze pośród swoich przynajmniej...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZGŁODNIALI.

Na całym świecie rozpanoszyła się dzisiaj wielka nędza, a w Paryżu może więcej niż gdzieindziej. Okropny jęć widok przeraża i odpycha; postanowiliśmy jednak przypatrzeć się jęć zblizka, schwycić ją na gorącym uczynku. Zadanie trudne, wymagające podstępów i czajenia się, bo do nędzy wprost przystępować nie można, albo obiedrze ciekawego, albo natrętnika za próg wyrzuci.

Aby nędzę zblizka podpatrzeć, przywdzialiśmy jęć liberyą; przybrani w szaty ubogie, ścigaliśmy ją we wszystkich jęć kryjóvkach. Najpierw wstąpiliśmy do kawiarni *Meunier*; istnieje ona przy ulicy des Amandiers, w okręgu dwudziestym; w tej to dzielnicy liczy nędza największą liczbę swych ofiar. Są ulice,

(*) Przeździecki — Podole, Wołyń, Ukraina, I, 219.

podwórza, przesmyki, wśród których panuje samowładnie, a bywa często zuchwała, prawie zawsze nikczemną, rzadko odważną i dumną.

Nie jest to właściwie kawiarnia w zwykłym tego słowa znaczeniu; to raczej izba w której pije się koniak, rozmaite mieszaniny i absynt, restauracya w której można zjeść śniadanie i obiad, przytulisko w którym można się przespać, w lecie w cieniu a w zimie w sali dobrze ogrzanej.

Zrana, o świcie, wstępują tu naprzód robotnicy *zalać robaka* przed pójściem do warstaku i wychylają najdziwniejsze mieszaniny. Z robotnikami w bluzach stykają się ubodzy w lachmanach, którzy nie wiadomo gdzie noc przepędzili; czatują oni, czy im kto nie zafunduje kieliszka.

W godzinach śniadania i obiadu kawiarnia napelnia się po brzegi; absynt płynie strumieniami; potem zasiadają przy stołach robotnicy, żebracy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Jedni jedzą, drudzy poprzestają na spoglądaniu z zazdrością na jedzących, inni targają zębami suchy kawałek chleba.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy między niejedzącymi. W pierwszej sali, gdzie się znajduje bufet, stoi sześć stołów drewnianych, czystych, ustawionych szeregiem przed bufetem; tutaj zasiadają zwykle robotnicy, którzy są w stanie kupić sobie suty obiad.

Salę sąsiednią, połączoną z poprzednią szerokim otworem, zajmują goście biedniejsi. Mięso i jarzyny tu i owdzie widać na brudnych stołach; nędzarze tutaj siedzący są przygnębieni, zwyciężeni cierpieniem; liczą na stole pieniądze, powoli, dobywając po jednym *sou* z kieszeni. Czy będzie czym zapłacić za obiad?... Jeden z nich odzywa się do sąsiada:

— Znowu zły dzień! Niepodobna znaleźć zajęcia, a jednak przysięgam ci, że szukam roboty, nie prosząc Pana Boga żebym jęj nie znalazł. Zona i dzieci, gdy wrócę wieczór do domu, wołają: „Ojcze, przyniosłeś chleba?” — Nie mam odwagi wracać do nich.

Ale ten do którego mówi jest bogaty... posiada dwadzieścia dwa *sous*! Bogaty dzieli się z ubogim i niebawem obaj pożerają kawałek wołowiny, zakrapiając go szklanką fałszowanego wina.

Trzecia sala, oddzielona od poprzedniej zaledwie paskiem muru, jest schronieniem nieszczęśliwych, którzy już nie próbują nawet walczyć i którzy wszelką ufność w siebie stracili. Są tam biedacy zasługujący na współczucie ale którzy nie są zdolni do najłżejszego wysiłku, aby się podźwignąć; nędza ich pokonała; na twarzach ich maluje się rozpacz; nie usłyszysz ich nigdy skarżących się, odgrzaających, buntujących. Często w tej sali ujrzyś kobiety płaczące, a z trudnością przyjdzie ci wydożyć z nich jakie słowo.

Oboj mnie siedziała jedna z tych nieszczęśliwych, z twarzą steraną boleścią, z oczyma pełnemi łez. Na kolanach jęj spało dziecko przy piersi. Ona nie jadła od dwóch dni. Była wdową; nie mogła zająć się regularnie żadną pracą z powodu dziecka; robiła złote gwoździe dla tapicerów, ale zarabiała zaledwie dwadzieścia *sous* dziennie, a już od miesiąca nie miała zupełnie roboty. Ponieważ nie była w stanie zapłacić komornego, właściciel wypędził ją z mieszkania, więc umieściła się w jakimś najędźniejszym hotelu, gdzie płaci za izbę trzy franki pięćdziesiąt centymów tygodniowo.

— Jakże jabym rada umrzeć! — mówiła do nas.

Ale kolega mój wsunął jęj kilka sztuk srebrnej monety do ręki, prosząc, aby pozostała na chwilę bez ruchu. Rysownik w stroju żebraka, nie mógł utrzymać w kieszeni notatnika i ołówka; chwycił żywcem te dziwne typy, a chciał staranniej naszkicować matkę nieszczęśliwą. Jednocześnie wlewał nadzieję w duszę tej kobiety, obiecując jęj zarobek, jeśli przyjdzie do niego pozować na „nędzę”.

Podczas gdy kolega mój rysował, jakiś wyrwidąb z groźną miną zbliżył się do nas. Miałaby nas odgadnąć?... Ale po chwili wrócił na swoje miejsce, zrażony próżną butelką; widocznie pomyślał sobie: omyliłem się, to także gołcy, tylko amatorowie rysunku.

Już północ była, więc opuściliśmy kawiarnię; w sali, z której wychodziliśmy, nieszczęśliwi spali z pięścią podłożoną pod głowę.

Okręg ośmnasty cechuje znów ogromny napływ rzeźmieszków, klawiszników i innych ludzi podobnego rodzaju, oraz robotników cudzoziemców, nianowicie Niemców i Włochów. Nigdzie gdzieindziej nie widziałem takiego mnóstwa Niemców z większym cynizmem popisujących się ze swoją brutalnością i Włochów z większą ostentacją popisujących się ze swoim lenistwem. Najczęściej są oni pogrążeni w ostatniej nędzy, ale zwykle nie zasługują na współczucie.

Dzielnice Amerykańską zamieszkuje nędza pozłacana, uśmiechnięta i wesola. Trzeba starannie szukać po domach i ostrożnie wypytywać ich mieszkańców, chcąc ją odkryć. Ulice i uliczki kryją zazdrośnie, wśród swych ogródków pełnych drzew i krzewów, całą ludność nieszczęśliwych, energicznych i dumnych, ale nie mogących zapewnić dostatku swoim rodzinom. Są to w ogóle niżsi oficjaliści, obarczeni dziećmi, z biedą zarabiający na życie.

W pasażu Longcheval napotkałem najciekawsze typy biednych robotników i drobnych przemysłowców, posiadających nieco narzędzi do pracy i walczących na zabój z nędzą. Pomiedzy nimi jest pewien stary odlewacz, który przez jakiś czas używał wielkiej sławy w pracowniach rzeźbiarzy i dekoratorów. Znany był pod nazwą ojca *Amour*. Mieszka wraz z swoją matką, ślepą i sparaliżowaną, w budzie wzniesionej ze starych rumowisk na kupie gruzów. Ojciec *Amour* jest dzisiaj niedołężny; ma na nodze ranę ogromną, która mu zupełnie nie pozwala pracować. Przypomina on z dumą odlewy, których dokonał na fakultecie medycznym, w pawilonie Flory i w Wielkiej Operze.

— Nieszczęście prześladowało mnie od chwili przyjscia na świat. Dwa razy złamałem prawą nogę, spadając z rusztowania; przeżyłem długie dni bezrobocia, straciłem żonę i dzieci, a dziś umieram z głodu.

Tak opowiedziana historia ojca *Amour*, wygląda bardzo po prostu i opłakanie; ale rozpytawszy się go bliżej, można się przekonać, że poczciwy człowiek widział nieraz uśmiech fortuny. Chciał zostać bogatym lecz nie dość roztropnie brał się do rzeczy. W każdym razie, obecnie, ojciec *Amour* i jego matka umierają z głodu w schronieniu, wystawionem na wszystkie wiatry, na wszelkie zmiany temperatury i pór roku.

Zgłodniał, których widzimy na rysunku wykonanym po dług obrazu Geoffroy'a, to nędzarze, co stają do walki ze zgłodniałym psem o odpadki kuchenne, zlewane w drewniane cebrzyki po restauracjach i wystawiane na podwórza, gdzie czekają zgłodniałe rzesze zmiłowania ludzkiego. Co w tych cebrzykach się mieści, tego nie wiedzą ani restauratorzy ani zgłodniał, chemik nawet nie byłby pewnym wyników swęj analizy... jest tam kość ale jest i glina, jest pozłota ale jest i popiół, jest zepsuty kotlet ale jest i torba papierowa... Zgłodniałym wszystko to jednak smakuje, co zaczerpną to i zjedzą a zupełnie popycha spleśniały chleb wyżebrany. Jakiś stary erudyta, może b. nauczyciel łaciny i greki, wyczytuje się w szpargał wyciągnięty z cebrzyka... biedak zapomniał o głodzie, zaintrygowana go jakaś wiadomość, którą posłał ducha. Kiedy czytanie swoje skończy, już w cebrzyku nic nie będzie i znowu srogim głodem odpokutuje swój pociąg do książki; gdyby nie był się uczył i nie umiał czytać — zdobyłby może szczęśliwym trafem najlepszy kawałek z cebrzyka. Nauka pozbawiła go lukullusowej uczty!

I. U. B. L.

NA KAPITOLU.

Kapitol, obronny zamek starożytnego Rzymu, skarbiec świętości i pamiątek narodowych, z ubiegim wieków zamienił się na warowne miasto, ze świątynią Junony. Na wzgórzu kapitolinijskiem odbywały się igrzyska, oraz popisy z wymowy i poezji. Jedną z bohaterek tych uroczystości, na które przybywało wszystko co Rzym miał najdosłojniejszego pod względem urzędu i talentów, artysta przedstawił uwieczoną. Dumna a spokojna jęj twarz mówi, że mało poetkę obcho-

gdyby te 31,000 były dziś w posiadaniu Towarzystwa, jakże inaczej wyglądałyby jego stosunki! Owych 29-ciu nie byłoby wpadło w otchłań upadku, z którego niema już prawie dla nich podźwignięcia; społeczeństwo nasze zamiast 29-ciu złoczyńców, byłoby pozyskało 29 uczciwych i pożytecznych pracowników.

Wskazaniem tej alternatywy, chcieliśmy przemówić do sumienia, do serca tych dłużników Towarzystwa i własnego słowa; może niejedyn z nich na widok złego, którego stał się przyczyną opamięta się i poczuje do obowiązku uiszczenia, choć późno, swojej zaległości. Ale kamieniem ostatecznego potępienia nie możemy jednak rzucić na tych nieregularnych płatników: my mamy tę wadę, że kiedy nami wstrząśnie myśl jakaś zająca, pocziwa, gdy nas porwie ku sobie cel piękny, szlachetny, nie rachujemy się z siłami i rzucamy się obcesem do dzieła, nie pytając czy do końca przy niem wytrwamy, czy wytrwać zdołamy. Ztąd dzieje się, że wielu ustaje w pół, w ćwierć drogi, niby marudery dzielnej armii — ale ustają, nie dlatego, że im się dalej iść nie chce, lecz że nie mogą. Żałować więc należy tej armii, żałować biednych maruderów, pragnąć i starać się aby ich było jaknajmniej; ale pobłażliwym trzeba być dla tych, którym powinno być przepuszczone wiele, bo wiele ukochali; dla tych niewygasłych podobno u nas nigdy potomków owych szlachetnych szaleńców epoki, co jak mówi poeta „siły mierzyła na zamiary...” Pamiętajmy, że gdyby ten rodzaj obrachunku był równie praktyczny jak jest szlachetny, bryła świata dawno już byłaby z posad swoich wzruszona i nowemi pchnięta tory.

Miejmy nadzieję, że nowi członkowie Towarzystwa Osad rolnych lepszymi będą rachmistrzami i płatnikami, ku pociesze jednej z najpożyteczniejszych naszych instytucyj.

Bodaj czy nie pokrewny z celem zakładu Studzienickiego, który ostatecznie jest zakładem karno-pedagogicznym, mają cel odczyty popularne dla rzemieślników? Podnoszeniem poziomu umysłu i serca tamten ma naprawiać złe, które się już stało, te zapobiegać złemu, które staćby się mogło, a jeden i drugie dźwigać wartość moralną człowieka i zapewnić pożytek z niego jemu samemu i społeczeństwu do którego należy. Więc dlaczego myśl tych odczytów kołaczę się dotąd w nieujętych sferach, niby widmo pokutujące, które się w ciało oblec nie może?... Już przed trzema miesiącami czytaliśmy listę prelegentów, którzy się do dwudziestu czterech odczytów zobowiązali i treść ich podali, więc z tej strony nie zachodzi zapewne żadna przeszkoda; chyba... chyba że... Ale nie, takiej zmienności postanowień nawet między naszymi prelegentami nie przypuszczamy, żeby ich aż tylu przez ten czas zdezerterować miało, iżby powstałe ztąd luki zapelnąć było niepodobieństwem... Więc jeszcze raz: dlaczego rzecz dobra, uczciwa i pożyteczna tęgnie i pleśnieje w długiej zwłoce?

Takich „dlaczego?” u nas co krok setkami napotkać można. Dlaczego na przykład tam, gdzie były dawniej piękne kopalnie siarki w Czarkowach (gub. Kielecka, pow. Pińczowski, własność Pusłowskich), dziś rozciąga się ogromne podziemne jezioro siarczane, bo zalała je samopas puszczone woda, którą przedtem do czysta wypompowywała maszyna parowa o sile 16 koni?... Kopalnia to była jedna z najbogatszych w Europie, u nas prawie jedyna, podczas gdy w Cesarstwie niema ani jednej tego rodzaju; cały zapas siarki potrzebnej na użytki wojenne, sprowadza Rosya z Sycylii. A jednak właściciele Czarków, wyłożywszy na ulepszenia 200,000 rs., uznali w końcu za korzystniejsze dla siebie stracić ten wkład bezpowrotnie i kopalnię zalać, aniżeli do jej eksploatacy ciągle dokładać. Dlaczego?...

Dlaczego zwierzchność straży ogniowej ochotniczej w Zamościu, nie raczy zupełnie zdawać sprawy z obrotu funduszami tej instytucyj, która jako publiczna, do publicznego też usprawiedliwienia i sprawozdania ze swjej działalności jest obowiązana?

Dlaczego poszła w zaniedbanie orkiestra amatorska, która dawniej w temże mieście, podczas uroczystych nabożeństw w katedrze tamtejszej, przygrywała na chwałę Bożą?...

Dlaczego u nas poziom moralności tak się obniżył, że zbrodnia świętokradztwa, dawniej tak rzadka, dziś staje się prawie powszednią? Jeden z uderzających jej przykładów zdarzył się niedawno w Siedlcach, które posiadają jeden tylko kościół katolicki. Niewiadomi złoczyńcy skradli tam skrzynkę, w której mieściło się 600 rubli gotówką i list zastawny na 250 rs.; skradli monstrancyą, siedm kielichów, trzy relikwiarze z relikwiami świętych Apostołów i drzewem Krzyża Świętego; skradziono cyboryum z ołtarza, z którego komunianty, o ironio!, z pewnem poszanowaniem złożono na patynie i zostawiono na ołtarzu. Świętokradców było kilku, zajechali śmiało, wozem, którego ślady zaprowadziły na łąkę, gdzie znaleziono skrzynkę rozbitą. Dalej ślad zginął.

Zbrodnia ta sama z siebie ohydna, staje się jeszcze wstrętniejszą przez to, iż jest rzeczą wiadomą powszechnie, że schludne, przyzwoite pod każdym względem utrzymanie niebogatej świątyni, zawdzięczać należy głównie staranności, zabiegliwości, kapłańskiej iście gorliwości ks. wikarego Leszczyńskiego, który i chóry amatorskie do śpiewu zorganizował i o wszelką czdobę kościoła dba ustawicznie, sam osobiście podczas nabożeństwa zbierając na ten cel datki od pobożnych parafian.

Świętokradcy musieli o tém wiedzieć; musieli wiedzieć, że szkody które zrzadzą nie łatwo będzie zarządowi kościoła wynagrodzić; wiedzieli, że pocziwemu księdzu wikaremu szczególną boleść sprawią, a jednak nawet te więcej ludzkie względy nie podziały na umysły, które szkarady swojego uczynku nie pojęły, a wiarę któraby je na tej drodze upadku powstrzymać mogła straciły, albo jej nigdy nie miały.

Moralność naszego ludu szwankuje coraz widoczniej. Dlaczego?...

Dlaczego gdzie cienko, tam się rwie? Dlaczego na przykład w takim Dorpacie, gdzie był jeden, ubożuchny, drewniany kościółek katolicki, jedyny przybytek, w którym tamtejsi polacy mogli uczynić zadość swoim uczuciom i obowiązkom religijnym, musiał właśnie spłonąć w wigilię Wigilii, bo w dniu 23 grudnia r. z?... Ogień wszczął się w komorze domu przytykającego do kościoła; ratunek był późny, zaledwie część budynku i to wielce uszkodzoną uratować zdołano. Na odbudowanie potrzeba 5—6 tysięcy rubli; te ruble znaleźć, zebrać się muszą, bo odbudowanie jest konieczne a ofiarność ogółu naszego niewyczerpana; można być prawie pewnym, że zostaną wysłuchane gorące nawoływania o ofiary na odbudowę kościoła, rozesłane do dzienników przez profesora Bouduin de Courtenay, znakomitego badacza języków słowiańskich a przedewszystkiem polskiego. Ale dlaczego ta klęska musiała właśnie spotkać jedną z najbiedniejszych społeczności, która nie wie którą z mnogich a gwałtownych zawsze potrzeb wprzód załatwić, którą dziurę w pokutniczej swojej szacie wprzód załatać?...

Znam wprawdzie wiersz:

Pierwsze słowo szatana do rodu ludzkiego,
Zaczęło się najskromniej pytaniem: dlaczego?

ale najprzód stare to już czasy, kiedy szatan żywem słowem z ludźmi się rozgadywał, a potem dzisiaj wśród ludzi, a głównie wśród nas, szatańską robotą właśnie jest to, że albo nie mamy ochoty pytać się: dlaczego? albo odpowiedzieć na to pytanie nie umiemy. A umieć powinniśmy, bo dziś na świecie wszystko dzieje się... dlaczego? kto na to nasze pytanie odpowiedzieć w każdej chwili i w każdym przedmiocie nie jest w stanie, ten jest żyjącym anachronizmem, który pod kołami postępu zginać musi. A więc szatana po staremu odgnaawszy krzyżem świętym, pytajmy się ciągle sami siebie — dlaczego?... i uczmy się na to pytanie odpowiadać.

.



ZGŁODNIALI.

Obraz Geoffroy'a, nagrodzony wielkim medalem, na wystawie w Salonie paryzkim.



NA KAPITOLU.

Obraz J. Lefebvre'a, nagrodzony medalem honorowym, na wystawie w Salonie paryskim.

dzą pochwały ludzkie; ona swoje natchnienie ma od bogów, bogom też za nie dziękuje a ludziom tylko się podziwiać pozwala—jak słońce, które świeci nie pytając: człowiek czy roślina z jego ciepła korzysta.

JAKTO BYWAŁO W MŁODOŚCI.

— Staliśmy, panie tego, w asekuracji armat. Nieprzyjacielskie pusзки, ustawione na wzgórzu, na lewem skrzydle nieprzyjaciela, prażyły potężnie naszych, a i nam się od nich często gęsto coś dostawało. Co chwila, to jęknął który i pochylił się w tył, to panie tego po cichutku zsunął się z konia i usnął biedaczysko jak kurczę.

Wtem przychodzi rozkaz od generała, że mają nas zaraz zlużować szasery, a my panie tego mamy pójść poprosić baterie nieprzyjacielskie, żeby zamilknąć raczyły. Ha! jak też nie krzyknijemy: Niech żyje generał!, jak ci nasz rotmistrz nie zakomenderuje: Czworkami od prawego marsz — marsz!, jak ci się nie kopniemy, to panie tego tylko ziemia zaczęła a wiatr świszczął w uszach jak śmiech dyabelski.

Miałem wtedy panie tego dzielną szkapę, skarogniadą, ze strzałką na łbie i z jedną pęcina białą; ale była to szkapą rarytas! Nogi żelazne, pierś jak u byka, zad jak u słonia, a wojenke panie tego tak lubiła, że jak tylko poczuła proch albo posłyszala strzały, zaraz rżała z radości, strzygła uszama i utrzymać było nie sposób.

Otóż tedy, przeżegnawszy się w myśli krzyżem świętym, walę ja na mojej szkapie wraz z innymi aż miło panie tego, nie bacząc bardzo co się koło mnie dzieje. Dopiero kiedy już byliśmy na kilkanaście kroków od baterii, obejrzą ja się szparoko koło siebie, i trochę mnie mrowie przeszło; szeregi nasze, lubo niby pełne, bo ilekroć który z naszych padł, szluzowaliśmy do siebie machinalnie, przez pół co najmniej stopniały... Ale nie było co nad tem deliberować; naprzód, marsz! i koniec; a potem na tak mały dystans, armaty już nam szkodzić nie mogły — przebyliśmy najgłośniejszą przeprawę. Więc tedy tylko lepij jeszcze pocisnąłem szkapę kolanami i hulaj!

W mgnieniu oka byliśmy już w baterii. Kanonierów jednych uspokoiłszy zaraz, drudzy padli na kolana krzycząc: pardon!, a kilku tylko upartych broniło się do ostatka.

Jeden z nich, już ranny w głowę, nie chciał się poddać i oparty o armatę tak dzielnie opędzał się swoją kiejską pałasina, że mnie złość zdjęła; panie tego, poskoczyłem i najechawszy nań skarogniadym podniosłem pałasz do cięcia, ale on uskoczył na bok i niespodzianie podpadłszy podemnie—całą klingę swojej szabelki w brzuchu konia utopił.

Skarogniady jęknął straszliwie, jakby ludzkim głosem, spał się ze mną i zwałił w tył. Nic mi się nie stało, wydobyłem się z pod konia i obejrzałem się... panie tego. Bateria była zdobyta; mój skarogniady ostatni krwią swoją i życiem tryumf nasz okupił. Obok niego, leżał trup owego kanoniera, z głową posiekaną okropnie.

Zrobiło się na chwilę, panie tego, prawie cicho. Nieprzyjacieliem wzięciem przez nas baterii skonfundowany, ustępował z pola, odstrzeliwując się kiedy niekiedy, niezbyt ostro następującym na siebie naszym oddziałom jazdy. Muie, jako to wachmistrzowi, żołnierz poddał konia zdobycznego, ale zanim nań siadłem, spojrzałem jeszcze raz, panie tego, na tych dwóch nieboszczyków, tak spokojnie teraz obok siebie leżących — i przyznam wam się, choć może śmiać się ze mnie będziecie, że łzy zakreśliły mi się w oczach: jedna popłynęła za moim skarogniadym, bo takiego konia już drugi raz w życiu nie miałem; druga spadła na krwawą czaszkę tego wroga, który spełnił swoją powinność tak, jak jabym ją był spełnił na jego miejscu.

Wieczne mu, panie tego, odpoczywanie!

ANZELM.

NA ZIEMI I NA GWIAZDACH.

Dlaczego milczał. — W starej zbroi. — Piramidy i legenda. — Wieża „Wiktoria”. — Śmierć żokiera. — Powszechna żałoba. — Ciężkie miliony ale i życie ciężkie. — Żokiej i artysta. — Nędra rzeźbiarzy francuzkich. — Zmarł przez miłość dla swego posagu. — Rzeź modeli gipsowych. — Operacja dokonana z brutalnością. — Idealy dzisiejszej młodzieży niemieckiej. — Krucjata prof. uniwersytetu wrocławskiego, d-ra Roebigera. — Pożar pałacu w Rzymie. — Naszyjnik królowej włoskiej.

Od kilku miesięcy nie pisałem do Was, chociaż wędrówka moja po lądach, morzach i gwiazdach trwa ciągle; z owego milczenia nie robię tajemnicy: powodem było znużenie. Wędrować przez rok cały z kraju do kraju, z wyspy na wyspę, z gwiazdy na gwiazdę i nie znaleźć nic takiego, coby warto było ofiarować braciom i siostram swoim na Gwiazdkę—to może podciąć skrzydła i nogi. Więc z rozkoszą zamieniłem pióro na strzelbę i polowałem na srogiego zwierza; przed politykami uciekłem pod namiot w pustyni i używałem spacerów morskich, które wywołując dokuczliwą chorobę, wybornie leczą z apatyi.

Nie wychyliłbym się jeszcze z tych zacisznych kątów, do których dolatuje tylko krzyk żarłocznego sępa, ryk dumnego lwa, szczekanie szakala... co wszystko przyjemniejszem jest od klótni ludzkich—nie porzuciłbym jeszcze strzelby ani łuku dla pióra, gdybym nie wyczytał w listach noworocznych, zakomunikowanych mi przez Redakcyę, że dalsze pogadanki moje są pożądane dla czytelników, że ten i ów raczył się z troskliwością zapytać—czy Iru jeszcze żyje? Nie łakomstwo więc ani próżność wywiodła mnie z pod palmy do stolika literackiego ale przyjaźń Wasza, którą pragnę odplacić służbą wierną znów przez rok cały.

Chciałem wystąpić w szacie zupełnie nowej: chciałem zmienić tytuł moich pogadanek i podpisać swój uliminować jakim efektywnym dodatkiem, ale kiedym się zaczął rozdziewać z tytułu „Na ziemi i na gwiazdach”, żal mi się zrobiło odzienia w które już wrosłem, w którym pomimo wyszarzania ciepło mi i przyzwyczajenie; więc zostaję w dawnym ubraniu, przy starym herbie... chociaż słyszę głosy z różnych gwiazd wołające: weź mnie za swego patrona, odziej się w moje obłoki, uzbrój wzrok w moje promienie!

Na tej przemianie w gwiazdę możeby zyskało moje jasnowidzenie, może ja pierwszy wstrząsnąłbym legendą o piramidach, budowanych przez tysiące lat... Legendę już kto inny obalił—p. Maspéro, uczony egiptolog, który sto nocy przesiedział u stóp sfinksów, obliczając ich objętość; doszedł on do matematycznego wniosku, że przy dzisiejszych środkach piramidę, jaka najdumniejsz sterczy w krainie Faraonów, można wybudować w ciągu lat czterech, a doskonałej niż to potrafili zrobić niewolnicy, dla których garść była młotem a plecy wozem do dźwigania głazów.

Za to odarcie piramid z legendy, wieki przyszłe zemszczą się na nas: drwieć sobie one będą z owych wież żelaznych, posągów kamiennych, z których my dziś tak dumni jesteśmy.

Wieża Babel nie daje ludziom spokoju, byle nadarzyła się sposobność, budują oni zaraz niebotyczne piętra z żelaza i kamienia—jakby chcieli oderwać się od ziemi, na której coraz więcej cierni i kału. O olbrzymiej „Statui wolności” już wiecie, także wiecie o wieży, która oświecili przyszłą wystawę paryską i cały Paryż z przedmieściami; otóż i statwę i latarnie wystawowe ma zakasować wieża żelazna, zaprojektowana przez inżynierów angielskich na uczczenie jubileuszu swęj monarchii, która w roku bieżącym kończy rok dwudziesty piąty swego wygodnego panowania. Wieża „Wiktoria” ma mieć wysokości 420 stóp, kosztować blisko milion franków; skorzystają z niej głównie turyści, dla których kopuła katedry św. Pawła już jest zanizka. Z turystami rozkoszować się będą widoki Londynu kawkami, a jastrzębie urządzą sobie na niej skład łupów z halli zawałonych drobiem, rybami i leśną zwierzyną.

Królowa angielska i zarazem cesarzowa wszech Indyj jest wielbioną przez naród cały bez wyjątku; nawet tłumy rabujące sklepy, rozbijające omnibusy, pijane i ołachmanione, na wspomnienie królowej kiwają głowami dobroduszenie i pałki swoje, wymierzone ku kryształowym szybowi sklepów jubilerskich, opuszczają ku ziemi. Ale i królowa znalazła niebezpiecznego ry-

wala w osobie... żokieja Archera; w pierwszej chwili kiedy się naród dowiedział o śmierci bohatera wyścigów — żal nie miał granic, a gdyby dano do wyboru: pomnik dla królowej czy pomnik dla żokieja, to możeby ten drugi najpierw stanął na torze Derbego.

Nie tylko arystokracja, nie tylko świat finansowy, nie tylko koniarze i szulerzy dorabiający się lub tracący fortuny na polu wyścigów, nie tylko szynkarze zbijający na tłumach fortuny, nie tylko rzeźmieszkowie zaopatrujący się dzięki wyścigom w dodrobyt na rok długi, ale naród cały oblewał łzami grób Archera... Dzienniki poświęciły mu sążniste artykuły wstępne, zepchnawszy politykę na plan drugi; na giełdzie, w halach, w biurach marynarki, w koszarach, w teatrach, w salonach i szynkach o niczym nie mówiono tylko o wielkiem nieszczęściu, jakie spadło na Anglię... o śmierci żokieja! Na ulicach widziałeś miny zgnębione, arystokracja przywdziała w dzień pogrzebu swego ulubieńca szaty żałobne; przekupki łyzy ocierały a czerwony gwardzista, stojący na warcie przed mieszkaniem ministra wojny, miał głowę ze wspaniałą bermycą na piersi spuszczoną; nie widział on przechodzących pięknych kobiet, ale i one nie spjrzały na piękny mundur żołnierza, rosłego jak dąb a delikatnego jak lilia. Brakowało tylko chorągwi żałobnej na wieży św. Pawła i na masztach w dokach.

Czemże więc był ów Archer? czy oprócz talentu żokieja posiadał jakie inne przymioty? czy geniusz dojeżdżacza równoważony był w nim geniuszem filologa, poety, artysty?... Nie był on niczem a niczem tylko królem stajni, tylko bohaterem wyścigów konnych. Popularność tego człowieka w Londynie była tak wielka, że ile razy zjawił się podczas przedstawienia w teatrze, publiczność witała go entuzjastycznymi oklaskami i powstawaniem z miejsc, a aktorzy, śpiewacy — nawet najślawniejsi — do niego się zwracali ze swoją deklamacją i trylem, jakby nikogo nie było w teatrze prócz tego koniucha.

A był to człowieczek mały, chudy, marny jak figa; anglikom imponują tylko krańcowości, uwielbiają oni człowieka z karkiem bawolim a zarazem podziwiają człowieka lekkiego jak puch; właśnie Archer zadziwiał tą drugą osobliwością, ważył on razem z kosteczkami, butami i ostrogami... funtów czterdzieści kilka, mniej więc niż kilkunastoletnie dziecko po spożyciu mleka z grzankami.

Na trumnie położono mu pejcz i palmę... jak męczennikowi; rzeczywiście był to męczennik nowożytnego wyrobu — wygrał on w ciągu lat kilkunastu 2,749 nagród wyścigowych i dobył się majątku lordowskiego: dwanaście milionów franków!! Mieszkał w pałacu, miał własne ogrody, wille, swój dwór, własną kaplicę i własnego kapelana... miał sławnego kucharza a był nieszczęśliwym, bo dzień i noc brzmiała mu w uszach groźba... sława twoja wisi na włosku, jeden łut więcej dziennie pożywienia, jedna mniej kąpiel w wełnianych kocach, jedna jaka przyjemność dozwolona nawet biedakom... a chudość twoja zginie, wagi ci przybędzie i sława przepadnie! Ten bogacz żył jak asceta, nie jadł prawie nic, był smutny, ponury, był męczennikiem istotnym; zazdrościł on pewnie nieraz żebrakowi, co przed pałacem jego zbierał ogryzki cygar i wylał sobie zęby na kromce spleśniałego chleba.

Nie mógł też skończyć inaczej jak samobójstwem — duch nareszcie się zemścił i złamał ciało, które pomimo nędznej wagi miało siłę nadzwyczajną. Archer ręką, drobną jak u dziecka, zatrzymywał wóz rozpędzony a nogami trzymał konia jak w żelaznych kleszczach. Męczennik ten był zawsze rozdrażnionym, pochmurnym, nigdy uśmiech nie powstał na jego twarzy — nigdy nie doznał szczęścia rodzinnego a pragnął go jak każdy śmiertelny, jak każdy anglik przedewszystkiem.

Roztrzaskał sobie głowę kulą w przystępie rozdrażnienia; to samo zrobiłyby i konie do wyścigów trenowane, gdyby umiały używać rewolweru. I konie drażnione głodem i zgrzebłem posiadają złość ludzką; chcą one kasać, kopać, bliskość są wściekłości, a czasami łbem w szaleństwie biją o ścianę.

Nie dziwię się tym rodzicom, którzy widząc sławę i dobrobyt żokiejów i tym podobnych fenomenów a równocześnie patrząc na nędzę artystów, z obawą myślą o przyszłości dziecka, które z talentem kreśli węglem twarze znajomych. Lękają się oni talentu, który na stu jednego doprowadzi do jakiejś takiej wziętości; natomiast cieszą się, jeżeli dziecko zręcznie fika ko-

ziołki, wdrapuje się na drzewo jak wiewiórka i stroi małpie grymasy.

W obecnej chwili, we Francji szczególnie, widmem odstraszającym od sztuki pięknej jest rzeźbiarstwo, którego kapłani i kapłanki topią się, duszą gazem węglowym, trują morfiną albo czekają śmierci na barłogu w izdebce bez pieca, z powybijanymi szybami... Francja za dzisiejszych swoich rządów wybudowała tysiąc pięćset pomników; unieśmiertelniła każdego, kto się przypomniał mieszkańcom miasteczka, gminy, wioski... w końcu tą szczodrobliwością przesycono się, ręce opadły i już nikt nie myśli o pomniku nawet dla Wiktora Hugo ani Balzaca. A tymczasem rzeźbiarze pozostali bez zajęcia, bez chleba... pomników Francja ma już dosyć, sztuki religijnej wyparła się, świątyń nie buduje, nawet nagrobki pozbawione cechy religijnej są wyrobami kamieniarzy, którzy mają za punkt honoru, aby krzyż, koronę cierniową i wszystko co przypomina Chrystusa i Kościół Jego zastąpić rzeczami cywilnymi, jak nazywają każdą opozycją przeciw religii.

Samobójstwo znakomitego rzeźbiarza Franciszka Mouly wywołało tylko chwilowe i to w kółku najbliższych znajomych wrażenie; w tym samym numerze najpoczytniejszych dzienników poświęcono angielskiemu żokiejowi całą naczelną kolumnę druku a wiadomość o tragicznej śmierci artysty odesłano prawie między inseraty o wyborniej musztardzie, o konserwach z ananasów, jarząbkach i tym podobnych przysmakach. Niedawno jeszcze zdolni malarze i rzeźbiarze mogli liczyć na powodzenie w Paryżu, pracowni ich były celem wycieczek modnego świata, arystokracja rodowa a za nią finansowa przepłacała dzieła modynych artystów, cudzoziemcy obsypywali garściami złota małe obrazki, drobne statuetki. Naraz wszystko się zmieniło — bożek wojny pogroził i grozi ciągle — nikt też nie myśli kupować, mając dość kłopotu z tem co już zebrał. Nawet Ameryka zatręsała się bankructwami, pochowała kapitały, nie chce dać nikt pieniędzy na poważne podpisy, na murywane hipoteki — wyrzekła się swego ulubieńca Messionera a wygwizdała Munkaczego, który był pewnym, że jego „Chrystus przed Piłatem” w najważniejszej, kupieckiej Ameryce znajdzie bogatego amatora.

Bieda artystów francuzkich już zaczyna wyglądać na nędzę; ci co mają protekcję i wyższe ukształcenie starają się o posady w ministeriach, inni mniej inteligentni na konduktorów przy omnibusach lub kolejach; jeden nagrodzony na kilku wystawach sprzedaje pieczone kasztany o kilka kroków od Sorbony, drugi chodzi po zaułkach i za szklanek piwa maluje portrety przedmiejskiej kanalii! Podobnych przykładów jest mnóstwo, a kto by chciał opisać sceny pracowni pustych, wyziębionych, zawalonych śmieciem i strzępkami — temu by rzemiosło pisarskie obrzydło. Nasz Andriolli cudów w Paryżu dokazuje, dostając w takiej chwili ogólnej stagnacji robotę u wydawców dzieł illustrowanych; prawda, że nasz artysta, podpisujący się na każdym rysunku robionym dla francuzów „Andriolli z Wilna”, jest ilustratorem znakomitym, czego złożył dowody w rysunkach do „Romea i Julii” Szekspira, ale też ma znakomite przeszkody do zwalczania: zwykłą niechęć i zazdrość a teraz i zawiść o zarobek, który francuzi z ust sobie nawzajem wyrzują.

Gazety paryzkie przez kilka dni rozpisywały się melancholicznie o śmierci rzeźbiarza Briant’a, który chociaż otrzymał był wielką nagrodę Prix de Rome i uchodził za jednego z największych artystów... a przytem był pracowitym... umarł jednak z nędzy, umarł w izbie w której nawet nietoperz osiedliłby się tylko w ostateczności. Nad ciałem tego artysty wycieńczonego głodem, zestywniałem w mrozie... odzianem tylko w koszulę, unosi się poetyczna powieść, która łyzy wyciska z oczu ideału...

Briant’a ostatniem dziełem był „Merkury wydobywający sobie cierń z nogi”; cenil on wielce tę pracę swoją, pamiętał o niej nawet powalony gorączką głodową. Odziewszy się tem, co miał pod ręką, całą swoją nędzną garderobą, chciał w mrozie przetrzymać noc i doczekać się wschodu słońca; w nocy przypomniał sobie swego Merkurego i przeraził się myślą, że glina zmarznie, popeka i arcydzieło zmarnieje. Wyskoczył z łóżka, posąg odział wszystkimi sukniemi a sam w jednej koszuli, szcękając zębami, zwinął się na łóżku... i zmarł jak pies wierny na grobie swego pana.

Przyjaciele znaleźli już skostniałego — nie mogli wrócić mu życia, a i posąg pomimo okrycia stracił jedną rękę... glina zmarznięta odpadła... Przyjaciele czcząc pamięć kolegi nie dorobili ręki, lecz Merkurego kalekę odleli w bronzie i umieścili w szkole sztuk pięknych.

Są więc jeszcze wyznawcy piękna, są idealisci, są ludzie którycy nie zabił materializm; w tym Paryżu, obladowanym szychem cnót, wyuzdaniem, pogardą dla wszystkiego co niewinne i święte, znajdują się zawsze artyści z niewyziębionem sercem, znajdzie się publiczność, która staje przed wspomnieniami wielkiej przeszłości i ubolewa widząc, że tej przeszłości krzywdą się dzieje. Przed kilku dniami dziedziniec Louvru żywo przypominał bydlóbójnię starego systemu, w której zabijano nie iskrą elektryczną, ale młotem spadającym na łeb bydłęcia; na dziedzińcu Louvru zwierzęta zastąpili ludzie... odlani w gipsie. Mnóstwo modeli przedstawiających cesarów rzymskich, królów francuzkich, najslawniejszych poetów i najpiękniejsze kobiety różnych epok... wyniesiono z piwnic, w których od kilkunastu lat spoczywały w nieładzie, i poustawiano je szeregiem na ziemi, nie zważając na słotę zimową, która deszczem i topniejącym śniegiem oblewała dostojne głowy.

Przechodnie widząc tę rewią sławnych ludzi, stawali z ciekawością a dowiedziawszy się od dozorczy, że ta postać opylona to piękna Maryja Antonina, tamta z odtrąconą ręką to mścicielka Corday, tamten z oberwanym kołnierzem to wielki Ludwik XIV, inny z wylupionem okiem to genialny Molier... rozmaicie przyjmowali wiadomości do serca — jedni szydzili, inni wdychali... westchnień jednak było więcej, chociaż nie brakło i pięści skierowanych prosto ku twarzy nieszczęśliwej królowej, co i na szafocie nie straciła majestatu swego.

Choć to tylko gipsowe figury ale wrażenie było przykre i oburzające, kiedy się rzeź rozpoczęła: chłop młody i silny, jeden ze stróżów muzeum, walił młotem po głowach i plecach cesarów, królów, filozofów, artystów... modele zamieniał w gruzy; czynność swoją wykonywał z zamiłowaniem, jakby nie gipsowych ale żywych ludzi miał pod ręką.

Rzeź była usprawiedliwiona, bo modele jako uszkodzone już nie miały dla nauki żadnego znaczenia; co lepsze sprzedano na licytacji bogatszym mieszczanom. Rzecz ciekawa i śmieszna, że republikanie dla przystrojenia swoich domów i willi rozkupili najwięcej królów, królowych i ich dworaków znakomitych, a najmniej przyjaciół ludu. Wyprzątnięcie piwnic muzeum było koniecznością ekonomiczną ale i do tej czynności wkradł się duch dzisiejszej Rzeczypospolitej, która siłę swą czerpie w poniewierce zasług przeszłości. Mordowanie takie na publicznym dziedzińcu, wobec tłumów, jest wyzwaniem szyderczo rzuconem w oczy tym, których dzisiejsza społeczność nie uznaje za swych mistrzów, jest czynem podniecającym skłonności motłochu; niejednemu z tych co patrzył na traktowanie ręką świerzbiała, on by tak pragnął rozboju dla siebie!

Niemcy z Francją wyścigają się nietylko na polu militarnem; Niemcy pozbawione cywilizacji, z jakiej się Francja wywodzi, zaprawione od wieków do walki brutalnej, dziś lepij niż Francja wojują siłą depreczując prawo. Ta siła stała się w Niemczech tak cyniczną, że już słyszymy głosy wołające na trwogę; między innymi prof. Holtzendorf gromi młodzież niemiecką, w której widzi zezwierżenie. Młodzież, a więc rdzeń i przyszłość narodu, pozbyła się dawniej sentymentalności i naiwnego burszostwa, stała się gromadą handlarzy, gotowych dla chleba, dla kariery spodlić się i kopnąć każdego, kogo kopnąć każe pryncypał. Młodzież niemiecka niezdolną by dziś była do przelania bezinteresownie krwi za ojczyznę — za tę krew ona żąda zapłaty z góry.

Bezwstyd i cynizm niemiecki doszedł do tego stopnia, że nawet ludzie uczeni, iluminarze narodu urągają nieszczęściu i wyrażają tym, którzy nie mogą się bronić. W historii uniwersytetu wrocławskiego nie ma plany podobnej do tej, jaką rzucił na to uczzone ciało dr. Roebiger, profesor teologii protestanckiej: na obchodzie jubileuszowym 75-cioletniej rocznicy założenia uniwersytetu, mówił szlachetny (!) teolog o patriotyzmie niemieckim, który ma za zadanie „zdeptać” i „wytepić” słowiańszczyznę i wszystko co ma jakiegokolwiek z tą „gangreną” powinowactwo. A to posłannictwo doktor te-

ologii wygłaszał wobec profesora polaka dr. Nehringa i uczniów téjże narodowości. Czyż brutalność może zajść dalej?

Z jaką rozkoszą po tém wszystkiém wciąż człowiek w pierś swoją echo słów króla włoskiego Humberta, który będąc obecnym przy pożarze pałacu książąt Odescalchi, widząc jak straż pożarna niedołężnie i niedbale ratuje, zawołał: „To wstyd! to hańba! aby Rzym, w którym mieszczą się skarby cywilizacji, nie miał dzielnych obrońców”. Monarcha był oburzony i zgryziony, że arcydzieła pędzla, rzeźby, że księgi uczone i rękopisy ginęły w ogniu; czuł on, że Rzym przez ten pożar stanie się uboższym.

Królowa zgodnie myśli i czuje ze swym dostojnym małżonkiem, ubóstwia ideały w życiu i wierzy, że tylko pod ich skrzydłami może być szczęśliwą. Nie rozstaje się nigdy z różańcem małej wartości pieniężnej ale drogocennym dla serca matczynego; kiedy groźna łuna od pałacu książąt rozlała blaski swe na pałac monarszy, królowa przekonała się, że ów różaniec ma na piersi — i była już spokojną.

Historia różańca prosta jest a piękna: następca tronu, kiedy był małym chłopięciem, przechodząc raz przez plac Dożów w Wenecyi, spostrzegł w oknie jubilera różaniec z pereł i naparł się aby go sobie kupić. Cena jednak była zawysoka na pensją malca; musiałby w takim razie odmówić wsparć, jakie stale udzielał biednym chłopcom i dziewczętom, na ręce kapłana a nauczyciela swego. Postanowił więc jubilera spłacić ratami po kilka soldów, uzbieranych z oszczędności; tym sposobem dopiero po roku został właścicielem klejnotu.

Matka tuli do piersi krzyżyk, który w niebezpieczeństwie dodaje jej odwagi.

IRU.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

„Tygodnik Powszechny” odrodził się z popiołów byłej ilustracji i powiększył liczbę tygodników literackich, które czytelnika bawią, potrosze uczą i rozciekawiają nowościami bieżącymi. Wszelkim usiłowaniom na drodze szerzenia światła najżyczliwiej sprzyjamy; nie wołamy więc: pism jest za dużo a sił literackich za mało, lecz patrzmy tylko na tendencją nowego dziennika. Tendencją złą potępiamy, choćby ona oprawna była w kunsztowną a mile zawsze dla nas brzmiącą mowę macierzystą, ale żadnym dobrym celom przeszkód nie stawiamy. W pierwszym numerze Tygodnika, którego redaktorem jest p. W. Czajewski, widzimy dobre zamiary, sympatyczne zapowiedzi, staranie się o rozmaitość treści, widzimy wielką ofiarę materialną aby tylko zyskać sobie grono czytelników; nie rozumiemy jednak jednej rzeczy: czerpania pokarmu dla swych czytelników z pism konserwatywnych i pozytywnych (?). Więc żołądek Tygodnika strawi wszystko; czy to łakomstwo strusie nie przypisze go o chorobę? Jeżeli Tygodnik przeniknie tam gdzie dotychczas żadne pismo polskie nie dochodzi, jeżeli namówi dla siebie nowych nieznajomych — to będzie miał zasługę poważną. A również stanie się pożytecznym jeżeli nie poprzestając na zapowiedzi, że wszystkie wielkie talenta pomagać mu będą, wyszuka, ośmieli i na świat wyprowadzi talenta nowe, zdolności prawdziwe, jeżeli da literaturze nowych współpracowników godnych tego tytułu. Wydawca, któremu idzie tylko o zarobek, trzyma się uznanych już wielkości, nie dbając kto po ich wygaśnięciu będzie myślał i pisał, ale każdy redaktor powinien starać się o to, aby ognisko literackie i jemu zawdzięczało nowy płomień, nową isierkę.

Salon Krywulta w hotelu Europejskim w Warszawie, przeszedł na własność innego przedsiębiorcy, który rozpoczął protegowanie sztuki pięknej od efektów dekoracyjnych, oświetlając światłem elektrycznym „Rozkoszne marzenia”, obraz malowany dobrze, ale z treścią tak pospolitą jak lupina z jakiegoś najmniej szlachetnego owocu.

Wyszukiwanie wody. W Nowej Aleksandryi, miasteczku z instytutem agronomicznym, wodę do picia i gotowania sprze-

dają na garncę, jak wino lub mleko! Niesłychana rzecz, żeby na puławskiej ziemi działa się sceny jak na Saharze: w lecie ludzie z pragnienia mdleją, w zimie nie mają w czym zgotować sobie strawy. Czekamy na pomoc obcą a nie wiemy, że ją mamy u siebie pod ręką; otrzymaliśmy w tym przedmiocie list z Łodzi, od sz. ks. A. Zajtza, który podaje sposób bardzo prosty i bardzo tani wynajdywania źródeł, a praktykowany przez p. Freunda, studniarza łódzkiego. „P. Freund—słowa listu—oddawna kopie studnie dla fabryk tutejszych; aby się przekonać gdzie warto rozpocząć robotę, bierze pęk zwyczajnych pokojowych kluczy, przywiązuje do nich cienki sznurek, długi na łokieć, i trzymając koniec jego na palcu, obchodzi miejsce, gdzie ma studnię wykopać. Jeżeli woda znajduje się pod ziemią jako źródło, klucze, wiszące na sznurku, poczynają się w koło obracać; jeżeli płynie ona żyłą pod ziemią, klucze poruszają się w kierunku téjże; jeżeli zaś wody wcale niema, klucze wiszą spokojnie. Próbę podobną odbyliśmy niedawno na cmentarzu kościelnym i na miejscu w ten sposób wskazanem, znalazła się w głębi 20 kilku łokci obfita woda.—Podobnego sposobu używa p. F. zawsze i nigdy się nie zawodzi; to też zwykle na własne ryzyko zabiera się do kopania studni. Dodać należy, że nie tylko on ale już i ojciec jego o praktyczności tego środka się przekonał; obaj wiele studni w Łodzi wykopali.”

Tytuł naukowy i niesumiennosc. Do cnót naszych pradziadów należało i to, że u nich *verbum nobile* było zawsze i *stabile*; o potomkach ich nie można tego zawsze powiedzieć. Towarzystwo bratniej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego ma aż 80,000 zlr. wierzytelności u dłużników, którzy, potrzebując pomocy w czasie studyów akademickich, pożyczali od Towarzystwa i zobowiązyali się zwrócić pieniądze, skoro pozyskają stanowisko. Dziś niektórzy z nich zajmują dobre nawet posady, lecz mimo upomnień o zwrocie długu nie myślą. Towarzystwo będzie podobno zmuszone udać się do sądu przeciw tym panom, którzy w sposób tak nieuczciwy wyzyskali dobre chęci kolegów i krzywdzą młodzież, któraby chciała się uczyć a nie ma na to funduszu. Jak wygląda ten brak najprostszej uczciwości obok pięknego tytułu doktora filozofii, medycyny lub obojga praw?

Wład. Żeleński nie spoczywa na laurach, pozyskanych „Konradem Wallenrodem”, lecz pracuje nad nową operą, osnutą na tle dramatu Słowackiego „Balladyna”. Libretto pisze prof. German. Żeleński stara się również o przedstawienie Wallenroda w Wiedniu i Pradze.

Na tle galicyjskiem. Rozwielmożnianie się czerni żydowskiej po miastach i wsiach galicyjskich, przejmuje każdego dobrego obywatela obawą o przyszłość kraju, o dolę biednego ludu, który już dziś jest w niewoli, co chrześcianina zamienia w istotę ogłupiałą, znędniałą i wiecznie odurzona. Obawę tę uzasadnia statystyka stopniowego przechodzenia ziemi w ręce żydowskie; w r. 1872 było w Galicyi ogółem 370 miasteczek, wsi i przysiółków w rękach 154 właścicieli żydów i ich spółników, co wynosiło około 272,000 morgów. W czternaście lat później, t. j. w r. z. liczba właścicieli żydów większej własności zdwoiła się a także w tym stosunku przestrzeń, która wynosi dziś pół miliona morgów. Z osadami włościańskimi jeszcze gorzej się dzieje; w ciągu lat pięciu (1875—1879) żydzi wystawili na licytacyą, czyli nabyli gospodarstw chłopskich 4,443—a do roku zeszłego liczba ta o kilka tysięcy się zwiększyła! Na tém tle uprawnionego bezkarnością wyzysku, czysto jaśnieje postać d-ra F. Zuckra, postać żyda-obywatela. On razem z inteligencyą chrześciańską bolał nad przechodzeniem ziemi w ręce tłumu ciemnego a chciwego, bolał szczerze bo kochał kraj, pragnął mieć go kwitnym, przodującym w przemyśle, oświacie i moralności, tymczasem widział jak szata niegdyś bogata codzien w szmaty się rozpada. Galicya żydziła ale jeszcze nie zdziczała, kiedy pomimo żalu i strachu przed widmem semityzmu, potrafiła uczcić zasługi sprawiedliwego męża. W pogrzebie d-ra F. Zuckera przyjął udział Lwów cały. Na czele żałobnego korowodu stanęli posłowie sejmowi, których zmarły był kolegą, pan marszałek, prezydent, członkowie rady miejskiej, pan namiestnik i inni dostojnicy.

Jubileusz d-ra Windthorsta. Najniebezpieczniejszy choć nieposiadający ani jednego żołnierza przeciwnik ks. Bismarka, żywe zaprzeczenie hasła kanclerskiego „ten sprawiedliwy kto

silny”, d-r Windthorst w tych dniach kończy 50-letni okres swęj pracy publicznej. Z tego powodu niemieckie pisma katolickie nawołują rodaków do okazania czci wodzowi idei cywilizacyjnej, obrońcy prawdy. Owacya będzie idealna jak idealnemi są pobudki, które sędziwego męża trzymają na wyłomie parlamentarnym; kapłana siły, kanclerza, uczczono siłą—dano mu gotówkę, folwarki z lasami i gorzelniami; kapłan sprawiedliwości i godności narodowej, d-r Windthorst, uczczonym zostanie sercem wdzięcznem i czystą kartą historyi, na której jaśnieć będzie jego nazwisko. Zamiast milionów w gotówce otrzyma Jubilat miliony podziękowań, listów, adresów, miliony uściśnień rąk, miliony drobnych pamiątek. I Poznańskie, które chociaż nie nie zyskało na obronie praw swoich przez d-ra Windthorsta, umie jednak być wdzięcznem za dobrą jego wolę; polki wysłały deputacyą, która wręczy Jubilatowi obraz Matki Bożkiej Częstochowskiej.

Za gotówkę. Ks. Kubeczak i ks. Kicka—niestety, nie można czcigodnych tytułów oddzielić od nazwisk tych ludzi—już dawno, jako tak zwani proboszcze starokatolicy, proponowali swym parafianom układ: wypłaćcie nam zaraz gotówką tyle a tyle, a zrzecemy się pieczy nad waszemi duszami i odstąpimy probostwa księżom, którzy nie zostają pod klątwą kościelną. Parafianie jednak wierząc przysłowiu: dłużej klasztoru niż przeora, propozycyą odrzucili i nareszcie doczekali się, że żli pasterze opuścili ich z własnej woli. Kubeczak i Kicka urzędy swe złożyli w ręce landrata ale ukorzyć się przed władzą duchowną nie chcieli; widać jeszcze coś myślą zarobić na giętkości swego sumienia. Wszystkich godnych siebie kolegów w Księstwie Poznańskiem mieli dziesięciu, z których na uzurpowanych stanowiskach pozostało jeszcze trzech.

Konsekracya biskupa chełmińskiego ks. Rednera odbyła się w katedrze peplińskiej. Konsekracyi dopełnił J. E. arcybiskup gnieźnieńsko-poznański ks. Dinder. Biskup ks. Redner, po skończonej uroczystości, błogosławił lud przemawiając do niego najpierw po polsku, potem po niemiecku.

Budżet Watykanu na r. b., przedstawiony Ojcu Świętemu przez kardynała Theodoliego, wykazał dochodu siedm milionów lirów, na co składa się świętopietrze 1½ miliona, kapitały deponowane przez papieża Piusa IX w bankach angielskich 4½ mil., i czynsz dzierżawny z dóbr papieżskich milion. Wydatki obliczone są na ośm milionów, a zatem deficyt przewidywany wynosi milion. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że świat katolicki ofiarami umorzyłby ten deficyt, jednak Ojciec Święty, jako dobry gospodarz, polecił aby oszczędnościami z zaprzestania nowych budowli w Watykanie budżet tegoroczny wyrównać.

Belgia to jeden ogród. Kraj zwany niedawno „jednym ogrodem”, stawiany przez turystów i przez profesorów ekonomii za wzór pomyślności, opiewany za kolebkę wolności i oświaty... dziś jest gniazdem anarchii, rozuzdanego łakomstwa tłumów, kamienną nieczułości kapitalistów a w téj chwili ten zakątek błogosławiony stroi się w mundur wojenny, uzbraja pomimo, że przysłowiowe bogactwo jego należy już tylko do wspomnień. Belgia leży między młotem i kowadłem—a oba one są potężne i w każdej chwili mały kraik zgnieść mogą. Dla Francyi i Niemiec przy spotkaniu się z sobą, co prędzej czy później nastąpi, Belgia będzie mostem, po którym przejdą olbrzymie armie; kto pierwszy mostem tym zawładnie, ten będzie miał wyższość nad przeciwnikiem. Rola takiego mostu Belgią dreszczem przejmuje — pod jedną armią załamać się on może, a cóż będzie jeżeli obie na niego razem się wędzą? W obronie swęj neutralności Belgia fortyfikuje Antwerpią, zamieniając ją w wielki obóz oszańcowany. Uzbrojenia i powiększenie armii nie robią z małego kraiku wielkiej potęgi ale podniosą wartość jego jako sprzymierzeńca; a i anarchiści, których ojczyzna jest tylko w garnku, w razie nowych rozruchów będą łatwiej poskromieni. Gdzie się podział ów jeden ogród, ów błogi spokój i dobrobyt, gdzie owa praca, którą Belgia imponowała Europie? Podróżnik, który niedawno kierował drogę na Belgią, wkrótce będzie ją starannie omijał.



Postrachy niemieckie. — Usposobienie opinii publicznej we Francji. — „Journal des débats”. — Windthorst i Bismark. — Książę kanclerz znów na mównicy. — Wojenne horoskopy pułkownika szwajcarskiego Ellgera. — Prąd pokojowy na wschodzie Europy. — Deputacya bułgarska w Stambule. — Gielda.

„Norddeutsche allgemeine Zeitung”, wypisująca alarmujące komunikaty o dziele wagonach desek wywiezionych przez francuzów z Niemiec — i „Journal des débats”, radzący Francji usunięcie z ministerium generała Boulanger’a, jako figury obecnie najbardziej niemcom niemiłej, oto dwa wytyczne punkta sytuacji politycznej na zachodzie Europy.

Kanclerz niemiecki, chcąc nastraszyć wyborców i skłonić ich do wybierania w duchu rządowym, wynajduje najrozmaitsze, jak to mówią, strachy na lachy, a za głównego stracha wybrał sobie Francją. Nadaremnie i rząd i prasa francuzka wypierają się wszelkich zachcianek wojennych, wyprysigają się niemal wszelkiej myśli odwetu; kanclerz gotów nawet uwierzyć w szczerść ich intencji, ale tu najlepsze chęci nie pomagają: położenie jest takie, że Francja musi przeprowadzić jeszcze jedną wojnę z Niemcami, w której Niemcy, jeśli nie chcą być pobite, muszą ją pobić i nazawsze ubezwładnić. A więc powiększenie armii niemieckiej jest konieczne i to powiększenie nie chwilowe ale stałe, nie na trzy, nawet właściwie nie na siedm lat, ale na wieczne czasy; rząd w tej sprawie powinien się domagać nie *septennatu* ale *aeternatu*. Taki *aeternat* byłby dopiero najpewniejszą gwarancją pokoju powszechnego.

Rzecz dziwna, że w te groźne hałasy uwierzono bardziej we Francji aniżeli w Niemczech, a wystąpienie tak poważnego dziennika jak „Debats” w sposób powyżej nadmieniony, dowodzi tylko jak dalece opinia publiczna we Francji przejęta jest trwogą przed Niemcami, dowodzi, co gorsza, zupełnego upadku wszelkiego poczucia godności narodowej, w sferach nawet takiej inteligencji, do jakiej dziennikarstwo zaliczać się ma prawo. Czyż „Debats” nie czuły, jeśli już nie rozumiały, że podobna „grzeczność”, jaką byłoby dla kanclerza niemieckiego usunięcie w obecnej chwili generała Boulanger’a, równałoby się zrzeczeniu wszelkiej niezależności politycznej, uznaniu się zupełnemu wasalem, sługą, popychadłem Niemiec?...

Że książę kanclerz rozumiałby stworzony w ten sposób przez... uprzejmość francuzką stosunek i umiałby go wyzyskać, to nie ulega wątpliwości, ale też równie jasną jest rzeczą, jakby na tém wyszła Francja. Kanclerz, nie zważając na nic, srożyłby się i wydmuchiwał Francją na stracha na wróble, dopóki mu ten strach do kampanii wyborczej w domu potrzebny, a postawiwszy na swoim, dopiero by się zabrał do francuzów. Za usunięciem Boulanger’a poszłoby odsunięcie sił francuzkich od granicy niemieckiej, może zniesienie całego łańcucha dziel obronnych, a przynajmniej pewnych punktów w tym łańcuchu, który przez to zostałby rozerwany a zatem bezsilny; dalej zapewne ograniczenie sił armii i t. d. i t. d. Widzieliśmy już potężne niegdyś narody, schodzące w ten sposób z widowni politycznej.

Inaczej trochę na politykę kanclerską zapatrują się sami Niemcy. Windthorst powiedział przed paru dniami w sejmie pruskim, że do rozwiązania parlamentu skłoniły kanclerza nie rzekome przygotowania wojenne Francji, nie niebezpieczeństwo wojny odwetowej, ale chęć nastraszania przedstawicieli kraju, w celu wymuszenia na nich zgody na monopole tytoniowy i wódczany. Kanclerz zarzut ten tak wziął do serca, a może uznał go za tak trafny i niebezpieczny, że postanowił sam osobiście odbić cios wymierzony przeciw niemu przez dzielnego przywódcę środka i w poniedziałek trzy razy głos w izbie sejmowej zabierał. Wyparł się naturalnie wszelkiej myśli o monopolach, a cienia nawet myśli o ograniczeniu konstytucji, zarzucał opozycji brak patriotyzmu a przeprowadzenie w całości projektu

rządowego co do powiększenia czynnej siły armii na lat siedm, położył za alfę i omegę swojej polityki wewnętrznej, od której polityka zewnętrzna i spokój świata zależą. Czy świat godzi się na to twierdzenie, nie wiadomo, ale nienay jakoś nie bardzo: sejm wysłuchał przemówień bez wielkiego entuzjazmu; wystąpienie kanclerskie tym razem nie sprawiło pożądanego wrażenia.

Nie poprzestając na owych deskach niemieckich, z których mają powstać groźne baraki dla żołnierzy francuzkich, ks. Bismark kazał swojej „Norddeutsche” podnieść artykuł szwajcarskiego pułkownika Ellgera, w którym są naprzykład takie ustępy: „Od połowy wieku, sześć wielkich wojen wstrząsnęło wszystkimi niemal cywilizowanymi narodami Europy, a teraz czeka nas walka jeszcze sroższa i cięższa. O gwałtowności przyszłych starć między mocarstwami europejskimi, niepodobna sobie zrobić nawet wyobrażenia. Będą tam bitwy, wobec których zblednie sława Lipska, Sadowy i Sedanu. Liczba walczących przechodzić będzie wszystko, o czém w tej mierze wspominają dzieje. Wystąpią do walki armie, których wyżywienie przed wynalezieniem dróg żelaznych byłoby niemożliwe. Gdy wojna raz wybuchnie, niepodobna przewidzieć ani jej końca, ani też jej następstw. Olbrzymie rozmiary tej walki i ogrom ryzyka przerażają nawet najzuchwalszego męża stanu; i ta właśnie obawa może jedynie odwlec jeszcze wojnę na czas jakiś”...

Przyznać trzeba, że obraz niewesoły, a co gorsza, wyglądający na prawdziwy. Czy go ks. Bismark uważa za trafny, skoro go swemu organowi pomieścić kazał? Tak by należało przypuszczać, gdyby się to stało w czasie zwyczajnym, normalnym; ale że to w czasie kampanii wyborczej, więc na dwoje babka wróży.

Na wschodzie Europy tymczasem jakoś pokojowiej się zrobiło. Mocarstwa wymieniają ciągle między sobą zdania, w celu porozumienia się w kwestyi bułgarskiej, a lubo się jeszcze nie zdołały porozumieć, ma panować wśród nich usposobienie pojednawcze, które podobno się udzieliło nawet bułgarom. Anglia tylko jeszcze brzdądzi, ale chodzi jej więcej o formę niż o rzecz samą. Deputacya bułgarska z Rzymu popłynęła już do Stambułu, gdzie Porta za jej pośrednictwem ma nadzieję skłonić bułgarów do powolności dla życzeń Rossyi. Z tym prądem pokojowym stoi w sprzeczności giełda, która obniża kurs walorów rossyjskich.



602) ODPOWIEDŹ na pytanie: Czy pokarm mięsny dla zdrowia człowieka jest niezbędnym?

Na pytanie to zarówno fizjologowie jak higieniści odpowiadają przecząco; jakoż pokarm roślinny zawiera w sobie pierwiastki podobne, jeżeli nie takie same jak mięso zwierzęce. Fibryna, substancja azotowa i pożywcza, istnieje zarówno w roślinach jak w zwierzętach; zresztą te ostatnie pochłaniają ją z krzywdą pierwszych. Kazeina, droga substancja potrzebna do odwarzania naszych tkanek, znajduje się nie tylko w mleku ale i w materyach roślinnych, skoro chińczycy robią sery z grochu. Zresztą nauka wykazuje dzisiaj tożsamość składu chemicznego w obu królestwach: zwierzęcym i roślinnym, a na poparcie tej tożsamości przytoczyć można ustęp z Bernardyna de Saint-Pierre. tyczący się praktycznego wychowania dzieci. Nieśmiertelny autor „Pawła i Wirginii” utrzymuje, iż młodzież należy przyzwyczajać do pożywienia roślinnego.

„Ludy, które się żywią roślinami, są bezsprzecznie wśród wszystkich ludzi najpiękniejsze, najsilniejsze, najmniej narażone na choroby i złe namiętności, a tym samym żyją ze wszystkich najdłużej. Większa część wieśniaków, którzy we wszystkich krajach stanowią najzdrowszą część ludności, mało jada mięsa. Murzyni w koloniach, tak ciężko pracujący, żyją tylko mlekiem, kartoflami i kukurydzą. Bramini indyjscy, którzy często dożywają stu lat, używają pożywienia wyłącznie roślinnego. Z sekty pitagorejczyków karmiących się tylko roślinami wyszli: sławny z enót Epaminondas; Archytas, genialny matematyk i mechanik; Milon z Krofony, głośny z nadzwyczajnej siły. Sam też Pytagoras był jednym z najpiękniejszych mężów swego czasu i skuteczniej od innych wymowny, albowiem umiał przemawiać przykładem i zasłużył na nazwę ojca greckiej filozofii.

„Nam, metoda żywienia z której wykluczone jest zupełnie mięso, nadaje mnóstwo przymiotów a nie pozbawia nas żadnego z tych, które możemy posiadać. Dlatego należy ją zalecać młodym ludziom, którym zapewni piękność ciała w połączeniu ze spokojem umysłu. Ta metoda przedłuża młodość a zatem i życie całe.”

Dla ludności miejskiej, mianowicie po miastach wielkich, trudna to poniekąd rzecz poprzestać na pokarmach roślinnych. W każdym razie radzimy tym z czytelników naszych, którzy mieszkają na wsiach albo po małych mia-

steckach przez cały rok albo przez część jego, jeść mało mięsa a za to spożywać różne jarzyny, nie obawiając się, żeby ich nie zjeść za dużo. Słabiej opierając się działaniu soku gastrycznego, substancje roślinne mniej trudzą żołądek, choćby miał do czynienia z masą pod względem objętości dwa i trzy razy większą od mięsa. W każdym razie higiena radzi, jeśli już nie konieczne trzymać się metody wyłącznie roślinnej, to przynajmniej jarzynom i owocom przyznać znaczną rolę w pożywieniu.

603) PYTANIE: Czy niewidomi potrafili odróżnić ludzi pięknych od brzydkich?

Ze skarba prawd. Złudzenia nasze są podobne do naszych zębów: młodociane, t. j. najpierwsze, wypadają same; późniejsze, z wieku dojrzałego, wyrwywają się z bólem.

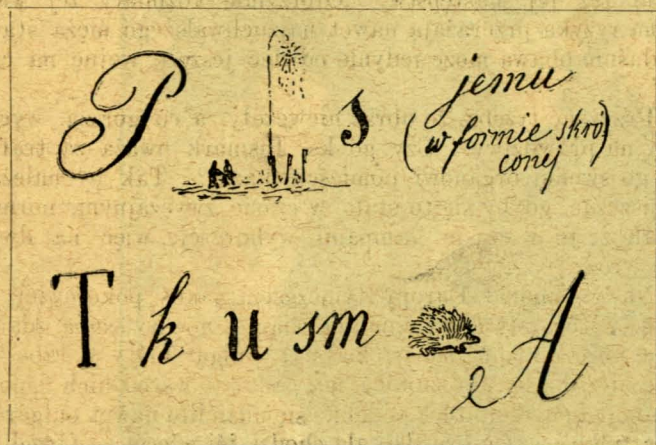
L O G O G R Y F.

(B. Osuchowskiego.)

Z sylab: bal, da, da, do, dow, giel, ha, i, ka, le, ma, mus, nat, ni, nik, no, ob, pi, rab, ras, se, ski, stra, ta, ter, try, wi, wo — ułożyć 10 wyrazów, których litery początkowe, czytając z góry na dół, a końcowe z dołu ku górze, utworzą dwa nazwiska najdzielniejszych obrońców katolicyzmu w sejmie pruskim.

Znaczenie wyrazów: 1) Najpiękniejsze w Wersalu. 2) Przyrząd konieczny dla szwaczki. 3) Wróźbita, który przepowiadał koniec świata. 4) Czym synem był Absalon. 5) Grób walecznych greków. 6) Wódz kartagiński. 7) Rzeka na północy. 8) Kąpiele jodowe w Galicji. 9) Najwyższa władza po cesarzu w starożytnym Rzymie. 10) Wal z ziemi usypany.

R E B U S.



Rebus z N-ru 3. Nie żartuj ze zdrowiem.

Nie trać nigdy nadziei.

Bankier liczył wobec swego syna papiery bankowe, unosząc je lekko palcem zwilżonym wodą: Raz, dwa, trzy... Kiedy przyszedł do ostatniego, zatrzymał się i rzekł do syna:

— Pamiętaj nigdy nie podnosić biletu ostatniego — powinienś mieć zawsze nadzieję, że pod ostatnim jeszcze jeden znajduje.

— Garson... proszę o porcję błędów ortograficznych.

— Pani! to obrażające żarty — odpowiada obecny żądaniu temu restaurator.

— Dlaczegoż pan podajesz je na swój karcie z potrawami?

Sila przyzwyczajenia.

Fotograf ustawiał swój aparat przed ruinami, które miał odfotografować; w chwili kiedy już odsłaniał soczewkę, głośno zawołał:

— Teraz, proszę się nie ruszać!

JAK SOBIE RADZIĆ.

Drzewa śliwkowe zabezpieczyć od wycieńczenia. Śliwki dojrzałe a pozostawione przez dłuższy czas na drzewie tak mu szkodzą, że często stają się powodem jego uschnięcia. Śliwy powinny być ogolcone z owoców jak można najwcześniej, lepiej nieco wcześniej niż zapóźno; owoce zerwane dojrzeją a drzewo na urodzajności nie ucierpi.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Położenie handlu zbożowego uległo w tym tygodniu poniekąd zmianie na gorsze, w porównaniu z tygodniem ubiegłym. Uspokojenie rynków amerykańskich i angielskich było słabsze, podobnie i niemieckich. Tylko francuskie trzymały się mocno; w ogóle atoli stosunki handlowe cechował zastój, który atoli nie wróży źle dla producentów, powstał bowiem głównie ztąd, że spekulanci nie mogli się dotąd zdecydować na podniesione żądania ze strony podaży. Na naszych targach, wskutek nader małych dowozów, pszenica podniosła się jeszcze wyżej niż w przeszłym tygodniu; za to żyto kupowano niechętnie i po niższych cenach.

Wojenne postrachy gazet niemieckich, przemówienia ks. Bismarka, a głównie zapowiadany zakaz wyprowadzania koni z Niemiec, niekorzystnie wpłynęły na uspokojenie poczynających się już uspakając nieco rynków pieniężnych; ale nawet i powyższe okoliczności nie są w stanie wytłumaczyć w zupełności ogólnego spadku wartości. Na giełdzie berlińskiej we wtorek panowała silna panika a ruble, które na początku przeszłego tygodnia stały na 190 i wyżej, obniżając się stopniowo, w dniu tym spadły na 187.

Warszawa, d. 26 stycznia 1887 r. 50 Listy Zast. (za rs. 100) 101.30. — Listy Zast. ser. II lit. A. 101.30. — Listy Zast. ser. III lit. A. 101.30. — Listy

Zast. M. W. I ser. 100. — Listy Zast. M. W. II ser. 99.40. — Listy Zast. M. W. III ser. 98.75. — Listy likwidacyjne Król Pol. 94.75. — Marka niem. kop. 50; złoty reński kop. 86; frank k. 42.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 7 k. 95. — Żyto rs. 5 k. 10. — Jęczmień rs. 4 k. 10. — Owies rs. 2.95. — Groch rs. 5 k. 10.

— na stacyi Fraga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 26. — Żyto kop. 83. — Jęczmień kop. 89. — Owies kop. 85. — Groch kop. 90. — Gryka kop. 84.



Nieprzyjacielowi wojny. (W Ożynie.) Na co się zdadzą artykuły sz. pana przeciw owym olbrzymim uzbrojeniom, które muszą robić inne państwa za przykładem Niemiec. Wątpimy bardzo aby to, czemu nie mogła zapobiedz liga przyjaciół pokoju i nauka Ewangelii o miłości bliźniego, potrafił zażegnać artykuł z Ożyna! Choć sz. autor jest innego zdania, nie możemy jednak dać miejsca w swoim piśmie na utyskiwania i rady bezpożyteczne. I cudzoziemcy przestali już marzyć o powszechnym rozbrojeniu, starają się tylko o to, aby jaknajmniej wydać pieniędzy, jaknajmniej obciążyć budżet państwowy długiem. Za wydatkami wyższymi idzie wzrost podatków, który w Niemczech doszedł prawie zenitu, tak że ekonomisci poważnie pytają: w co się zmieniła wszelka własność, a humoryści proponują podatek od ust, które stosownie do swego rozmiaru mogą więcej lub mniej zaczerpnąć do płuc powietrza. Jeden z tych ludzi, nie potrafiący się niczem smucić, tak opisuje swoje przyjemności całodzienne: „Rano wstaję z łóżka i otwieram okno dla wpuszczenia świeżego powietrza — ale przyjemność tę opłacić muszę podatkiem od okien wychodzących na ulicę. Potem zapalam cygaro i myślę o podatku od tytoniu i od zapalek. Czekolada przypomina mi podatek od napojów. Wychodzę na miasto i myślę o podatku od powozów i psów ciągnących wózki. Siadam do śniadania i czuję pod sobą stołek opodatkowany, widzę talerz, widelec, nóż... opodatkowane. Solę swoje zupę i wyspuje w nią podatek. Potem idę na spacer do ogrodu i słyszę jak każde drzewko, każda trawka narzeka na podatek. Wieczorem zapalam lampę lub świecę także opodatkowane. Do łóżka wypijam szklankę z wodą ocukrzoną i zasypiam z myślą o podatku od słodyczy! Z tych wszystkich przyjemności konkluduję, że najszcześliwszy jest człowiek, który jak Dyogenes mieszka w beczce lub jak Bias cały swój majątek nosi z sobą, a jeszcze szczęśliwszym jest diad silny, ze zdrowymi nogami, który ma spokojne sumienie i wolność zebrań gdzie go oczy poniosą. On nie zna budżetów, podatków, dodatków, uzbrojeń, nie zna polityki, nie dba o honor ohywatelski i śpi sobie spokojnie.” — W ten sposób filozofują cudzoziemcy, którzy na złe konieczne poradzić nie mogą; mają rację stroić takie żarty, bo przynajmniej oszczędzają sobie zdrowia i spokoju, co także stanowi poważny kapitał siły moralnej i ekonomicznej.

Studnie artezyjskie. (P. S. S. w Żytomierzu.) Bajka jest wiadomość drukowana w jakimś piśmie obcym, że studnia artezyjska wykopana na dziedzińcu jednej z fabryk warszawskich zalala wszystkie zabudowania, dziedzińce i ulice sąsiednie. Najprzód studni artezyjskich w ścisłym znaczeniu tego wyrazu Warszawa nie posiada wcale; studnia taka daje zwykle wodę ogrzaną do pewnego stopnia, jako pochodzącą z głębi, w której temperatura jest wyższą od temperatury powierzchni ziemi. Piszącemu pomieszała się zapewne Warszawa z Ameryką; czy to nie był ten sam jeograf francuzki, który niedawno w sprawozdaniu o stanie zimy w różnych krajach europejskich, napisał: „Śniegi tak zasypały Syberję, że wszelka komunikacja kolejowa i wozowa tego kraju... z Wrocławiem została przerwana!” — Ameryce istotnie grozi nowa klęska, której człowiek nie poradzi. W okolicach Chicago zaczęto kopać studnię artezyjską; skoro wkopano się do 186 stóp — woda wytrysnęła tak olbrzymimi a gwałtownymi strumieniami, że wszelkie siły użyte do pochłaniania pędu na nic się nie zdały. Zginęło kilkunastu górników i ludzi odważnych, inżynierskie tamy popękały jak szczyby, kamienie, piasek i t. p. materiały wrzucane w otwór studni zostały napowrót wyrzucone; po kilku godzinach utworzyła się rzeka, która zalala kilka mil dokoła i zagroziła okolicy. Cała służba kolejowa, inżynierowie z Chicago wezwani zostali na ratunek... czy udało się im poskromić żywioł podziemny, o tem ostatnie wiadomości jeszcze nie doniosły.

Post-scriptum.

P. M. K. we L. Żalujemy bardzo, że list nasz z dobrą wiadomością i życzeniami noworocznymi zaginął na pocztowej drodze. Było tam pisanie dużo i zachęty dużo. Lampa b. się nam podobała, zapalimy ją dla naszych czytelników. Ale cierpliwości i wiary w naszą szczerą życzliwość. — **P. L. Karpowicz.** Istotnie, nie wiele pociechy Bogu z bogatą świątynią, jeżeli lud do niej uczęszcza jak na zabawę, aby posłuchać muzyki, śpiewów i pogawędzić ze znajomymi; tak samo kosztowne szaty nie stanowią dobrego kapłana ale czyni jego. Nie zgadzamy się jednak wcale z przeciwnikami wystawności kościelnej; najprzód wystawność ta jest rytuałem kościoła katolickiego, więc ją uszanować bezwzględnie powinniśmy, a powtóre nie mamy innego środka na okazanie Bogu swej czci tylko przez ofiarowanie tego co posiadamy najlepszego i przez dobre uczynki. Bogate szaty kapłańskie nie przeszkadzają, aby tenże kapłan choćby boso i w sutannie podartej niósł pomoc umierającemu, wszak J. E. biskup Dunajewski ukląkł na plantach krakowskich przy jakiejś nagle osłabłej ubogiej kobiecie i, ulegając jej prośbie, wysłuchał spowiedzi. W ogóle nie wdajemy się w kwestie teologiczne, zmuszeni zaś do tego zasięgamy zdania duchownych i za nimi powtarzamy; więc i zdanie z Biesiady, przytoczone przez sz. pana, ma swoją teologiczną wagę. O owej odezwie na teraz odpowiedzieć dać nie możemy. — **Siostrze P.** Nie zapomnieliśmy, chociaż życzenia nasze były mniej jawne niż sz. pani i innych naszych łaskawych przyjaciół. Wdzięczność głęboka pomimo nagany za kwiaty, których przecież w zimie nigdy nie może być za dużo. — **Ciotce Annie.** Siostrzenicy nie mamy nic do zarzucenia za to, że woli młodzieńca z lwą grzywą niż konkurenta z łysyną; i my na jej miejsce zrobilibyśmy taki wybór. Lecz jeżeli młodzieńiec lew jest pod względem moralności zerem, to lepiej wyrzec się pięknej czupryny. Łysina na charakter nie wpływa; trudno jednak miłość nakazać — jeśli siostrzenica nie kocha, niech się lepiej małżeństwa wyrzeczy niż żeby miała dla pozorów poświęcać szczęście całego życia.

PRZEWODNIK.

Leczenie wścieklizny u zwierząt. (P. S. w Wilnie.) Koń wściekły należy do nierzadkich wypadków; najczęściej zaraza udziela się koniowi od innego stworzenia. Niedawno w osadzie leśnej księstwa Łowickiego, konie zostały pokasane przez psa podwórzowego, który trzymany na łańcuchu jako podejrzany, łańcuch zerwał, na konie się rzucił i został zabity dopiero we wsi sąsiedniej, gdzie pokaleczył kilkoro ludzi. Jeden z koni leczonych przyszedł do zdrowia lecz drugi w szaleństwie zabił się, rozbiwszy głowę o słup stajenny. Szczepieniem zwierzętom jadu wścieklizny zajmuje się w Warszawie p. Kotłubaj, redaktor „Hodowcy”; metodę szczepienia badał w Paryżu u Pasteura, doświadczenia prowadzi w Szkole weterynaryjnej. — **Pensjonarze w Piotrkowie.**

komendowany dojść musi; książkę chętnie prześlemy razem ze Złotą Przedzą. Dzieła Wilczyńskiego już wysłane; w r. b. dalszy ich ciąg nie będzie wychodził. — **Dr. F. Bridzicki w Irkucku.** Adres p. M. Dubieckiego: Kraków, ulica Św. Sebstyana, nr. 11. — **P. M. Kamińska w K.** Cennik nasion wysłała redakcja „Ogrodnika Polskiego”. Za sam portret rs. 1 k. 50, a za przesyłkę k. 50; razem rs. 2; nie czekając na porto wysłaliśmy. — **Chorób w Sierpcu.** Najlepszy tran do picia pochodzi z Bergen; dostanie go w aptekach i składach materiałów aptecznych. Jest biały, oczyszczony zupełnie, i brunatny; lekarze zalecają ten drugi gatunek, jako nie pozbawiony jodu. Tran pomocnym jest szczególnie w chorobach skrufulicznych. — **Potrzebuje pracy** kobieta uzdolniona do prowadzenia rachunkowości kasowej, wdowa i matka jedynej córki. Warunki pozostawione są do woli chlebodawcy; choćby były najskromniejsze chętnie zostaną przyjęte. Rekomen-



Jako bywało w młodości.

Rysunek Bayarda.

Przy obrachowywaniu ludności opuszczenie jednego lub kilku tysięcy nie nie znaczy; dokładność matematyczna w statystyce jest rzeczą niemożliwą. Co innego kiedy mówimy o powierzchni kraju, w tym razie rachunek może być ściśle dokładnym. Francja, według tyłkoko ukończonego spisu ludności, posiada 38,218,000 mieszkańców; nauczycielka pani podała ludność podług spisu z lat poprzednich, więc mniejszą przeszło o pół miliona. — **P. E. Sawczyńska.** Prosimy o rozmiary oleodruku i wiadomość ile można za niego zapłacić; cena obrazu z tą samą treścią i tej samej wielkości zmienia się od kilku rubli do kilkudziesięciu—to zależy od wykonania artystycznego. Księgarnia istnieje przy ulicy Królewskiej; list re-

dacye osób znanych mogą być przedstawione; Redakcja B. L. wnosi z listu proszącą o inteligencji jej i szczerą chęć do uczciwej pracy. Potrzebujący i chcący pomódz, raczy nadesłać swe żądanie do naszej redakcji dla p. A. Z. — **Nowemu obywatelowi Warszawy.** Mając do wyboru resursę Kupiecką i Obywatelską, po co się zapisywać na członka trzeciej, która jest towarzystwem niemieckim. P. L. źle panu poradził; widać ma jakieś interesa z jej założycielami, kiedy im szlachcie napędza. Nie gardzimy Niemcami, niech się bawią jak chcą, ale obyczajów ich, nawet bałowych, nie chcemy widzieć w towarzystwie polskiem.

Treść numeru 578 Biesiady Literackiej, ilustracji warszawskiej: Z Warszawy.—Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.)—Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J. (d. c.)—Zgłodniał. —Na Kapitolu.—Jako bywało w młodości.—Na ziemi i na gwiazdach.—Raptularz tygodniowy.—Listy polityczne.—Czy pokarm mięsny dla zdrowia człowieka jest niezbędnym?—Ze skarbcza prawd.—Logogryf.—Humorystyka — Jak sobie radzić.—Rolnictwo, przemysł giełda.—Gazetka.—Post-scriptum.—Przewodnik. — **Rysunki:** Styczeń. (Rysunek F. Brzozowskiego).—Zgłodniał. (Obraz Geoffroy'a).—Na Kapitolu. (Obraz J. Lefebvre'a).—Jako bywało w młodości. (Rysunek Bayarda).—Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 4.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. **Na prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monetę obcą, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcji w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Января 1887.—Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek.—Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.

HERB NA GIELDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

Nastąpiła długa pauza. Coś było w powietrzu, czego nikt nie wiedział ale przeczuwał. Jmci pani Jędrzejowa nie mogła włóczki rozmotać, proboszcz trzymał szczyptę tabaki przed sobą, a Jmci pan Jędrzej teraz dopiero spostrzegł, że cybuch jest bez fajki. Podniósł fajkę i zaczął ją machinalnie nakładać, co mu jakoś więcej niż zwykle czasu zajmowało. Gdy już fajka była gotowa, przeszedł się Jmć pan Jędrzej po pokoju i zatrzymał przed rozbitą szybą.

— Ciekawy jestem—rzekł niby do myśli swoich—coby to ludziom mógł szkodzić wielki majątek, który im Pan Bóg zsyła. Mogą więcćj dobrego bliżnim świadczyć, swobodnićj Boga chwalić i spokojnie dary jego spożywać; a jeżeli do królestwa niebieskiego bogaty człowiek musi się przepychać jak wielbłąd przez ucho igielne, to przecież mu się i ta sztuka udać może!

— To prawda—odpowiedział proboszcz—ale czasem się nie uda. Często zsyła Pan Bóg na ludzi bogactwa, aby ich enotę wypróbować. Bogactwo rodzi często pychę, a gdzie pycha, tam już zły duch jest przy boku; omamia człowieka, mąci mu czysty źródło szczęścia i budzi w sercu różne zachcianki; rwie się złota przedza życia a zastępuje ją szych złudny; zacne uczucia nikną a natomiast rodzą się nieczne namietności. Człowiek wtedy podobny jest do drzewa szarpanego burzą na wszystkie strony; traci liście zielone a suche konary nawet cienia znużonemu pielgrzymowi nie dadzą, wreszcie spali je ogień a popioły rozniesie wiatr na wszystkie części świata. I szukajże teraz złotych marzeń...

Obraz ten sprawił na wszystkich przykre wrażenie. Nawet proboszcz posmutniał a na twarzy miał jakby żal, że zawiele powiedział.

— Dobrze robisz, proboszczu—ozwał się pan Jędrzej po niejakiem czasie—że nas moderujesz w zapędach naszych. Przed chwilą zdawało mi się, że dla szczęścia naszej Heluni potrzeba koniecznie klucza Sosnowieckiego... teraz poprzestałbym na Jodłówce z przysiółkiem, byle tylko ten zły duch, o którym nie dawno wspominałeś, nie chciał się do nas przyczepić. Jodłówka z przysiółkiem to zawsze ładny majątek.

— Lepiej zostawić sobie coś w gotówce—dodała pani Jędrzejowa—aby było na wydatki niespodziewane. Helunia jest wątłego zdrowia, trzeba będzie nieraz pojechać do wód morskich lub pod cieplejsze niebo.

— Słyszysz, proboszczu—zauważył z uśmiechem Jmć pan Jędrzej—już zły duch się odzywa.

Proboszcz uśmiechnął się smutno.

— To jeszcze mniejsze figle tego kusiciela... byle co gorszego nie chciał on płatać i jakiej prawdziwej choroby nie sprowadził. Ludzie powinni być zawsze na to przygotowani. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Zawiele było już tego panu Jędrzejowi. Podejrzywał proboszcza, że jego półsłówka coś ukrywają, że na coś chce go przygotować. Cóżby to mogło być? Czy zagraża im jakie nie-szczęście? Niedobre przeczucie ogarnęło go ale nie miał odwagi wprost zapytać; obrócił się więc do szyby historycznej, przez którą zwykł był na świat patrzeć, gdy kłopoty domowe życie mu zatrzymały, gdy jęmość pieniędzy na różne wydatki żądała albo egzekutor rządowy po podatki przyjechał.

Szyba ta sprawiała mu w takich razach zawsze ulgę; pęknięta na dwoje trzymała się jeszcze dobrze w ramach, dając mu naukę, że i złamany człowiek powinien się prosto na nogach trzymać. Przez nią widział dalekie góry obsiadłe ubogim ludkiem, który tak samo jak on z kłopotami życia łamać się musi. Na drodze do tych gór widział nowo wybudowaną karczmę, w której z sześciorgiem dzieci i dziesięciorgiem wnucząt mieszkał Lejba, wieloletni jego przyjaciel i doradca; musiał to

wszystko karmić i odziewać a jednak nie sarkał. Przeciwnie Jmć pan Jędrzej coroku podwyższał mu propinacyę, a stary Lejba bynajmniej się za to nie gniewał. Nawet teraz przyszło na myśl dziedzicowi, czy za wydmy piaszczyste pod karczmą, które już teraz rzadką trawką porosły, nie możnaby podnieść czynszu... gdy nagle na drodze za karczmą podniósł się biały tuman kurzu i jakby za karę niedobrej myśli, wprost pędził na dwór.

Zaniepokoiło to pana Jędrzeja. Wichru właściwie nie było, skądże te nagle tumany? Pan Jędrzej przetarł rękawem szybę i zaczął się przypatrywać; biały tuman kurzu sadził prosto na dwór. Czy dyabeł, wywołany nieostrożnie przez proboszcza, najeżdża jego siedzibę? Cóż to jest?

Jeszcze pan Jędrzej dobrze myśli swoich nie pozbierał, gdy przed gankiem zagrzmiało i trzasło jak piorun... coś drzwi szeroko otworzyło i wichrem po pokoju zakręciło.

Pan Jędrzej chciał już krzyknąć z przestachu, gdy jakieś mgły i chmury zaczęły się szybko przed nim rozwijać a z nich, jak ongi Wenera z piany morskiej, wyłoniła się nieco garbata ale pocziwa i zacna pani Eufrozyna, sąsiadka.

Zacna sąsiadka pozrzucała z siebie różne pledy, chustki i gazy, i pospieszyła w objęcia pani Jędrzejowej, zostawiwszy w drodze dla pana Jędrzeja drobną rączkę do ucałowania. Skorzystał z tej małej pauzy proboszcz i z widocznym zadowoleniem wziął sporą szczyptę tabaki, w nadziei, że Jmć pani Eufrozyna wyręczy go w roli, która mu się zbyt trudną wydawała.

IV.

Przeczucie proboszcza spełniło się.

— No cóż—zawołała zaraz po pierwszym uścisku życzliwa sąsiadka, cóż wy teraz zrobicie? Skandal jakich mało, na waszém miejscu nie wiem sama coby zrobiła. Mówiono mi, że już był tam trzy razy... raz przywiózł nawet pudełko cukierków—same różowe pomadki! Czy słyszycie... różowe pomadki! Mówił mi pan Wiktor, że nawet z pewnym lekceważeniem odzywał się o waszym domu, Heluni przyczepiał różne łatki, nazywając ją królową polnych bławatków!... Pan Antoni powiedział mi pod sekretem, że mowa była nawet o pierścionkach, a na pocztę w Żurowie nadeszło już pudełko od jubiler! Oczyszcza z długów Pałaczyisko a dla siebie kupuje klucz Sosnowiecki!... Cóż wy na to wszystko? Ja na waszém miejscu umarłabym ze wstydu i zgryzoty... Pięć mil jechałam, aby was pocieszyć i dodać wam ducha... Wiem, że umiecie to ocenić, bo prawdziwa przyjaźń tylko w takich wypadkach może być ocenioną. O jakże mi żal biednej, niezrównanej Heluni! Czy ona nie chora, czy żyje jeszcze? Ja na jej miejscu jużbym dawno umarła. Jak można po takim skandalu ludziom w oczy patrzeć?

Pocziwa sąsiadka spojrzała po wszystkich litościwem okiem; a było też na co patrzeć. Jmć pani Jędrzejowa rozkrzyżowała ręce z wiszącymi na nich motkami włóczki; wyglądała jak drogoskaz na rozstajnych drogach. Otworzone usta nie mogły wykrztusić słowa.

Jeszcze gorzej wyglądał zacny pan Jędrzej; trzymał cybuch fajką do góry a drugą ręką odrywał pętlice od kapotki, jakby w piersi zabrakło mu powietrza.

Proboszcz żałował widocznie, że roli swojej odstąpił komu innemu. I była w tém racya. Pod gradem słów pani Eufrozyny mógł uledeć najmeźniejszy; niektóre z nich raniły jakby ostrzem zatrutém, inne ogłuszały i zabijały.

Kilka chwil trwało milczenie, zanim biedne ofiary życzliwości sąsiedzkiej mogły przyjsć do siebie. Pan Jędrzej odechnął głęboko i otarł pot z czoła.

— Cóżto się stało?—zapytał blademi ustami.

— Ach powiedz pani, tylko prędko!—dodała pani Jędrzejowa ze łzami w oczach.

Pani Eufrozyna spojrzała z zadziwieniem; twarz jej ożywiła się wyrazem współczucia.

— Jakto, czyż wy o niczém nie wiecie?—zapytała.

— O niczém—westchnęli oboje małżonkowie.

— Czyż to być może?

— Nie bierz nas pani na tortury!

— Wy nic nie wiecie, podczas gdy ja pięć mil ztąd oddalonem wiem o wszystkich szczegółach?... Nie, to być nie może!

Gracie przedemną komedią, bo nie chcecie abym wam okazała moje szczere współczucie; wiem, że w takim razie często współczucie gorsze jest od szyderstwa, ale moje serdeczną życzliwość powinniście umieć ocenić. Kilka dni temu rozmawiałam z panią Antoniową o szczęściu Heluni, dodając, jak miłe w Sosnowcu będziemy mieli sąsiedztwo.

Pani Eufrozyna westchnęła i posmutniała; wyrwała ją z tego smutku żylasta ręka pana Jędrzeja.

— Albo powiedz pani natychmiast co się stało, albo panią uduszę jak rogatego dyabła! — krzyknął w rozpacz.

— Teraz widzę — rzekła pani Eufrozyna, usuwając się nieco do proboszcza — że jestem pierwszym posłańcem złej wieści. Niedobra to rola; byłam nieogłębłą w pierwszych słowach moich, ale któż temu winien? jak można nie wiedzieć, co się tuż przy nas dzieje.

— Zlituj się pani i powiedz co wiesz! — błagała pani Jędrzejowa.

— Pan Józef zaręczył się z panną Aurelią!

— Zaręczył się!!

— Nie powiem, że się zaręczył... ale wiem z dobrego źródła, że już są po słowie. Hrabianka mówiła to angielsce, która jest przyjaciółką naszej bony.

Pan Jędrzej wykonał całym swoim korpusem ruch wahałowy.

— Już są po słowie!! — zawołał w rozpacz.

— Biedna Helunia! — wyjęknęła pani Jędrzejowa a łzy jak groch potoczyły się z jej oczu.

Jak na życzliwość sąsiedzką było to za silne wrażenie. Pani Eufrozyna posmutniała.

— Nie powiedziałam, aby już napewno byli po słowie, tylko bona moja jakoś się o tym dowiedziała, a ja przypuszczam, że od angielski. Gdyby nawet tak nie było, to nie zawadzi zwrócić uwagę, że się to stać może. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Otóż teraz dopiero jesteśmy na dobrej drodze — ozwał się proboszcz — do tego dążyłem właśnie, w czym mi przyjazd pani Eufrozyny przeszkodził.

— Więc i ty proboszczu, wiesz o tym? — wyjęknął pan Jędrzej.

— Ja to lepiej opowiem — przerwała pani Eufrozyna, siadając wygodnie w fotelu. Jak wam wiadomo, wziął pan Józef sukcesyjkę i ulokował ją u jakiegoś bankiera w Wiedniu, aby coś więcej jeszcze dorobić. Jest teraz moda robić w Wiedniu pieniądze, kupując te i owe papiery. Jmć pan Bolesław już tyle miał zarobić, że chce urządzić ordynacyę; otóż i panu Józefowi poszczęściło się — liczą go już na dwakroć stotysięcy...

— Po dzisiejszych kursach już więcej — dodał pan Jędrzej — uderzając pięścią w niemiecką gazetę.

— Gdy w Pałaczkach o tym się dowiedziano, zarzucono sidła na pana Józefa, na którego dawniej nawet nie raczono spojrzeć. Zaproszono go niby na polowanie, na polowaniu dano wystawny obiad a nawet do późna na noc tańczono. Aurelia miała suknię „bleu général”, jak mi o tym modniarka z Żurawa mówiła. Jest to teraz kolor bardzo modny, cesarzowa była w nim niedawno na wieczorze...

— Czy pan Józef rzeczywiście...

— Rzeczywiście tańczył z nią kontredansa, a w przestankach prowadził rozmowę bardzo ożywioną.

— Ale czy rzeczywiście?

— Rzeczywiście był tam raz i drugi a zawsze wyborny humor panny Aurelii wszystkich uwagę zwracał na siebie. Pani Antoniowa widziała nawet jak we framudze okna długo z sobą rozmawiali, poczem odpięła Aurelia bukiet z piersi i dała go panu Józefowi.

Nastąpiła pauza. Pan Jędrzej układał te wszystkie szczegóły w swojej zakłopotanej głowie, ale nie mógł jeszcze ich dobrze zrozumieć. Dopomógł mu ksiądz proboszcz.

— Jest pewnym — zaczął oględnie — że w Pałaczkach zwrócono uwagę na pana Józefa, o którym się dowiedziano, iż ma już blisko pół miliona. Oczywiście Pałaczkom tego potrzeba, bo wycieczki do wód zagranicznych i podróże po Włoszech wiele kosztowały, a w zamian żadnego markiza ani nawet barona do polskiej ziemi nie sprowadziły. Z tego powodu miał Jmć pan Achil kilka mówek o patryotyzmie, włożył na głowę

czapkę rogatą i sąsiadom, których dawniej nie znał, wizyty porobił. Mówią, że jest kandydatem do sejmu, zkaż ma nadzieję dostać się do Wiednia. Tym sposobem nastąpiło zbliżenie pana Józefa do panny Aurelii a nawet utrzymują, że pan Józef już wędkę z ładną ponętą połknął.

Pan Jędrzej machnął cybuchem aż fajka spadła i w drobne kawałki się rozprysła.

— Niech was jasny piorun trzaśnie! — krzyknął, aż historyczna szyba zabrzęczała — i ufajże to ludziom! Wszędzie czarna zdrada, brudne zabiegi, niewdzięczność i morderstwo!

— O morderstwie jeszcze nic mówić nie można — przerwała pani Eufrozyna — bo dopiero pojutrze ma się odbyć pojedynek.

— Pojedynek! — ozwały się naraz trzy głosy.

— Tak jest, pojedynek między panem Józefem z jednej a panem Karolem z drugiej strony.

— Chryste Boże! — zawołał pan Jędrzej — tego już za wiele! Można kompletnie zwaryować!

W tej chwili otworzyły się drzwi przyległego pokoju a na progu ukazała się postać Heluni. Miała twarz bladą, jakby rozkosznym marzeniem zmęczoną; oczy mgliły się, usta złożyły się do smętnego uśmiechu. Ciemnym włosom poświęcono więcej uwagi, chociaż tu i owdzie wyłamywały się z pod karbów ostatniej mody; to samo było widać na sukni ciemno-zielonego koloru; była tam dążność do pewnych pretensyj, która była z góry nakazana.

Helunia spojrzała na gości z pewnym zadziwieniem, jakby nic o nich nie wiedziała. Trzymała w ręku bukietik robionych kwiatów.

Powitała uśmiechem gości i postąpiła naprzód.

Nikt nie wyrzekł do niej ani słowa; głucha cisza panowała czas niejaki. Nawet pani Eufrozyna nie umiała znaleźć słów aby po tym, co przed chwilą mówiono, zawiązać rozmowę z biedną ofiarą.

Wreszcie zebrała się na odwagę.

— Prześliczne kwiaty — rzekła — czy własnej roboty?

— Zgadnij pani, jakie ich przeznaczenie?

— Przeznaczenie?... przeznaczenie to fatalny wyraz dla nas biednych kobiet...

— Tym razem oznacza ono najwyższe szczęście...

— Szczęście często jest złudną marą...

— Ależ nie mów tak pani o moim... ślubie!

— O ślubie?

— Kwiaty te przeznaczam do świec, które na moim ślubie palić się będą... A co, czy ładne, księżu proboszczu?

Nikt na to nie odpowiedział. Ojciec stał jak posąg, matka patrzyła przed siebie jak obłąkana a proboszcz szukał uprzejmie tabaki na zamkniętej tabakierce. Nawet pani Eufrozyna nie wiedziała co dalej mówić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LIST Z ZAKĄTKA WŁOSKIEGO

PRZESŁAŁ

J. I. Kraszewski.

Kilkanaście lat upłynęło od tej wojny, która zmieniła zupełnie politykę europejską i dwa wielkie państwa po straszliwej walce postawiła przeciwko sobie, jako nieprzejednanych nieprzyjaciół na przyszłość. Od tej chwili wojna jest nieustannie na porządku dziennym a przygotowywanie się do niej najważniejszą sprawą nie tylko Niemiec ale wszystkich krajów, które rade nie rade czuwać muszą, dla własnego bezpieczeństwa. Francuzi zaczęli się uczyć po niemiecku; Niemcy, którzy język nieprzyjaciół znali doskonale, studyują kraj w najmniejszych szczegółach.

Wpływ zresztą Francji na Niemcy, niegdyś wielki i znaczący, dziś jako zgubny i odepchnięty, zmniejsza się z każdą chwilą, gdy niemiecki przeciwnie, pomimo zarzekania się i sarkazmów, widocznie przenika Francją. Dałoby się to wykazać

faktami, lecz na ten raz idzie nam o rzecz drobną, niemal śmieszna — przecież nie bez znaczenia: francuzi rozkochali się... w piwie.

Od wielkiej wystawy paryzkiej, na którą Dreher wiedeński sprowadził swe piwo i dał go pokosztować nad Sekwaną, stało się ono tu popularnym; rozmiłowano się w *bokach*, i dziś piwo jest napojem, bez którego trudno się obejść francuzom. A że winnice chorowały na robaki, napój Gambrynusowy zaczął zagrażać winu, którego konsumpcya wewnątrz kraju się zmniejszała. Postrzeżono się teraz dopiero — czém to grozi i zdrowiu i kieszeni; wezwani na pomoc lekarze, pod względem higienicznym używanie piwa potępili, dowodząc, iż szkodliwie wpływa na funkcje mózgu i sprowadza ociężałość. W chwili gdy to piszemy zawiązała się systematyczna reakcja przeciwko piwu i propaganda winna; już istnieją stowarzyszenia, wyrzekające się „soku jęczmiennego”, jak piwo zowią Niemcy.

Czytając referaty o tej sprawie, którą francuzi bardzo się zdają brać do serca, przypomnieliśmy sobie mimowolnie, cośmy niegdyś czytali o piwie u nas, które było równie jak w Niemczech napojem najbardziej rozpowszechnionym. Niezliczone tego dowody i świadectwa mamy we fraszkach Kochanowskiego, w żywocie Reja, w satyrach i t. p.

Dla Niemców nieboszczyk d-r Graesse (ten sam który pisał o porcelanie) skreślił małą historią piwa. U nas by też można, trochę poszukawszy w starych księgach, dużo zebrać o tym napoju; właśnie mi się nawinał nieoszacowany stary Rzeczyński i sądzę, że wyciągając z niego nieco o piwie w naszej stariej Rzeczypospolitej — nie zgrzeszę.

Najsławniejsze u nas były bez wątpienia piwa pruskie, a raczej pomorskie. Stolicą słynącą z ich fabrykacyi był Gdańsk, który stare piwa czarne, żółte, sześćdziesięcioletnie piwa wysyłał przez Lubekę do Anglii, Hollandyi, Szkocyi. Liczono ich w Gdańsku samym do trzydziestu rodzajów.

Regina cerevisiarum — *Dantiscana*. Był to aksjomat. Gęste, czarne, posilne bardzo, smaczne *Joppen-Bier* i *Doppelt-Bier* nawet były przysmakami kosztownymi. Sławiono je też, jak dziś Hofa wyciąg słodowy, jako wielce zdrowiu służące.

Słynęły też piwa szląskie, któremi się i w Krakowie raczono. W Małopolsce starą mającą sławę było piwo Nowo-Korczyńskie, Piotrkowskie, Garwolińskie, Brzezińskie, Gelniowskie. Na Rusi górą było — Przemyskie.

W Mazowszu pierwsze zajmowały miejsce piwa Wareckie, Grabowieckie, Tarnogrodzkie, za niemi szły: Łowickie, Końskowskie, Drzewickie, Odrzywolskie.

Zadnej ziemi nie zbywało na tym rodzaju ilustracyi. W Wielkopolsce Lwówek, Wronki, Łobżenica i Gródek zdawna słynęły swemi piwami.

O wielkopolskiem piwie chodziła tradycja, może kłamliwa, iż garniec można było go dostać za pół grosza. Nie przemawia to za dobrocią jego.

Daliej idąc, na Podlasiu miało dobrą sławę piwo Międzyrzeckie, w ziemi Dobrzyńskiej Gurzeńskie, na Litwie Balwierzyskie, Kowieńskie, Orszańskie, Tołczyńskie; na Kaszubach Kościerzyskie, Puckie, Lwówko (*Lembergensis*), na Kujawach Bydgoskie, w Sieradzkim Szadkowskie. Liczbę tych piw, które sobie imię zdobyły, moglibyśmy z łatwością pomnożyć, gdybyśmy notaty swoje mieli pod ręką; historia naszego piwa obfituje w szczegóły, anegdoty, wspomnienia, nie zbywa ję na bohaterach, którzy ogromną ilość pochłaniali chmielowego odwaru. Hans, który starał się służyć czém mógł w swęj Ekonomice, a wiedział, że szlachcicowi długo bez piwa się obejść, na wojnie, w obozie, było bardzo przykro — umieścił w nięj przepis robienia piwa obozowego, które miało być znośne. Wyrabiano je z umyślnie na ten cel wypiekanego chleba. W przysłowiach, w pogadankach, w wyrażeniach starych, ślady piwa i jego popularności znajdują się gęste; w historii miast jest materiały szacowny do monografii piwa, którą, niestety, musimy przyszłemu badaczowi, więcej niż my mającemu czasu — odstąpić.

Czytając sprawozdania z wystaw niustających, które tam u nas takie wzbudzają zajęcie i takie ściągają tłumy, podziwiamy niezmordowaną czynność, radujemy się postępowi. Co nowych fabryk, ile rodzajów przemysłu u nas dotychczas nietrwałego, jak szczęśliwe wyzwianie się z zależności od Niemców, którzy ongi z naszego lnu i konopi tkali dla nas płótna, weby,

serwetki, kręcili sznurki a sprzedawali nam to drogo, cośmy im dawali za bezcen.

Doprawdy jest się czém cieszyć nie tracąc nadziei, że i my też obejść się będziemy mogli bez rzemieślników cudzoziemców, bez wyrobów obcych, które sami sporządzim sobie w domu. Ale czytając o tych wystawach, które tak żwawo gonią jedne za drugimi, iż po pierwszych zaledwie czas mają uprzątnąć śmiecie, a już nowe się w ich miejsce wznoszą — mimowolnie ogarnia pewna obawa — myśląc czy tego nie zawiele i czy wielce poważne sprawy przemysłu, pracy, nie nadto się nam przedstawiają lekko i zabawnie? Mamy taką naturę, że gdy się weźmiemy do czego, to już tak gorąco, tak namiętnie, tak drapieżnie, że nam w tém nikt nie sprostą, ale mamy też w tej naturze, iż dobiegłszy do pewnej mety napadać nas zwykło zniechęcenie, zobojętnienie, niewiara, i co wczoraj było nowem sitkiem na paradnym kołku, jutro idzie pod lawę.

Gdy chodzi o pracę cichą, skromną, ukrytą, powolną i wytrwałą — jakoś do nięj nie mamy serca; potrzeba nam do nięj muzyki, sztandarów, rozgłosu dużo i wrzawy, dopóki wszystko to razem wzięte nas nie znuży. Lękam się więc bardzo, aby te wystawy nie straciły uroku i nie przestały być skutecznym bodźcem do pracy cichęj — nam tak potrzebnej; lękam się znużenia i zniechęcenia.

Wystawy są niewątpliwie znamieniem działalności naszego wieku, środkiem kontroli dla postępu, sposobem porównania owoców trudu, udowodnieniem zdolności, nieoszacowanym materiałem do oceny pracy, ale mają tę niedogodność, iż drażnią zarazem miłość własną, pochlebiając ję i w miejsce celu rzeczywistego podstawiają sztuczny — zaspokojenie próżności.

Tymczasem wszystko to bardzo pięknie wygląda, a że cudzoziemcy dziwią się, rysują, spisują i ciekawie przypatrują temu nowemu dla nich i dla nas widowisku — wielce nam to pochlebia, zbytnią też przywiązujemy wagę do aplauzów obcych ludzi. Wolelibyśmy pracę mniej szukającą blasku, a więcej pożytku.

Z dziwną obawą patrzymy na cały nasz ruch artystyczny, który wywołał pewne zajęcie sztuką nie tylko w prasie naszej, ale i w społeczeństwie patrzącem dotąd dosyć obojętnie na artystyczne dzieła. Dopóki nasi artyści pracowali dla Europy, dla znawców całego świata, o los ich byliśmy spokojni; gdy kraj jako miłośnik wystąpił, a prasa, jako pośredniczka pomiędzy nim a artystą, gdy zawiłe dosyć kwestye piękna, smaku, wykonania i t. p. nastroczać się zaczęły do rozwiązania — niestety — okazało się razem, iż jesteśmy na tém polu zupełnie nowi, a co gorzej, zdajemy się wierzyć, że tu dosyć jest dobrych chęci, że nie potrzeba nauki ani przygotowania żadnego, aby radzić, wyrokować i rozstrzygać.

Ogół nasz usposobiony jest pewnie do pocucia piękna, do umiłowania sztuki, ma instynkta szczęśliwe, ale że zarazem mało umie a wiele ma w sobie zaufania — i to pewna. Nastawiliśmy na to kilkakrotnie, iż z historią sztuki, z zasadniczymi pojęciami o nięj należałoby się oswoić i trochę nauczyć... tego co się zgaduje, nie umiając wcale...

Niema uboższej literatury od naszej w dzieła przygotowujące do głębszego poznania warunków znaczenia krytycznego, do oceny dzieł, do dziejów sztuki, a nie się nie czyni, aby ten brak dotkliwy wypełnić co najpilniejszém.

We Francyi, w Niemczech, w Anglii, gdzie wychowanie artystyczne daleko więcej jest posunięte, wychodzą ciągle dzieła popularyzujące historią sztuki, roztrząsające sąd o nich; u nas, oprócz kilku prób bardzo nieśmiałych — artystyczne wykształcenie ogółu zostało nietkniętém. Wydawcy nie mają odwagi do uprawy tego pola leżącego odłogi. Dziwowska się rodzą z tego, bo ogół często nie wie nawet, czém jest to na co patrzy i o czém sądzi; nie umie nazwać dzieła które chciałby nabyć i nie ma wyobrażenia zasad, mogących posłużyć do ocenienia go. Naiwność tych lubowników kunsztu nowonarodzonych, którzy portrety zowią landszaftami, a sztychu nie potrafią odróżnić od litografii, choć zbierać je są radzi, dochodzi do rozmiarów, którym trudno uwierzyć. Przy najlepszej chęci nawet nauczania się czegoś, nie sposób się objaśnić, bo nam na przewodniczych do tego dziełach zbywa zupełnie. Kremera podróże potrzebowały propedeutyki, aby z korzyścią czytane być mogły.

Cokolwiek więcej oswojeni z językiem, używanym w sprawozdaniach, gdy się nauczyli — ciepłego kolorytu, szerokiego pędzla, soczystości tonów i kilku tego rodzaju utartych wyrażań, są już przekonani, że mogliby się w potrzebie podjąć felieton o Salonie do Figara nawet! Tymczasem, jakże się często przypomina słuchając lub czytając ich — Krasickiego — upłynął wiek złoty.

Umiejętnie wykonany kurs popularny teorii i historii sztuki, na wzór tych, które we Francji ogłaszają, pewni jesteśmy, że nawet by się opłacił przedsiębiorcy, ale potrzeba aby był zastosowanym do stanu obecnego czytelników, dla których będzie przeznaczony. Są to — na długo może jeszcze — *pia desideria* tylko.

Gdyśmy list ten zamknąć już mieli, nadeszła smutna wiadomość o stracie, jaką ponieśliśmy przez niespodziewany zgon ks. Kalinki. Na tém stanowisku jakie zajmował, niestety, nikt go nie potrafi zastąpić, a spuściznę pracy, nawet dzieląc się nią, następcy jego niełatwo podźwigną.

Dzienniki nasze, wszelkich odcieni i przekonań, jednoczą się oddając sprawiedliwość historykowi, który szukał prawdy i nad wyświeceniem jęj do zgonu z żelazną wytrwałością pracował.

Śmierć ś. p. Wacława Szymanowskiego także pozbawiła nas wielce utalentowanego pisarza, który jako artysta i poeta nigdy nie był ocenionym jak zasługiwał. Jakby przeczuwając zgon swój przedwczesny, Szymanowski zebrał pisma swe przed kilku laty i wydał je w pięciu tomach, zawierających oryginalne i tłumaczone utwory dramatyczne i poezye. W tym wieku pospiechu i niewykończenia, Szymanowski odznacza się szczególnie wytworną formą i starannym wypiękśzeniem pism swoich. Pozostaną też one i na scenie i w literaturze jako cenne i piękne dzieła sztuki. Dziennikarstwo traci w nim człowieka, który jako kierownik i doskonale obeznany z warunkami prasy redaktor, umiał niełatwą naszą do pozyskania publiczność ująć sobie zastosowaniem się do jęj potrzeb i wymagań. W rękach jego „Kurier Warszawski” rozwinął się tak szczęśliwie, iż z wielu względów żadne inne pismo peryodyczne nie zdołało mu sprostać.

ZAKŁADNICY LWOWSCY (1672).

PRZEZ

D-ra Antoniego J.

(Dalszy ciąg.)

Zawieszenie szturmów nie znaczyło jeszcze zakończenia sprawy... Rzeczpospolita przechodziła przez bolesne upokorzenia; upokorzenie dotkliwie czekało i stolicę Rusi — żądano od niej okupu. Jak do tego przyszło, opowiedzieć tutaj należy. Poselstwo Złotnickiego do hana miało swój skutek, pan cześnik spotkał się z nim w obozie pod Husiatynem, wdzięcznie przyjęty wiozł listy do hetmana w. k., w których dynasta krymski obiecywał swoje pośrednictwo w kwestyi pokoju tak pożądanego dla strony napastowanej. Dopiero wszakże po rozpoczęciu już szturmów lwowskich wysadzeni zostali komisarze od boku królewskiego, dla ułożenia umowy. Z dyaryusza przez nich prowadzonego (*) dowiedzieć się łatwo, że jeden z delegowanych Jan Szumowski, podskarbi nadworny koronny, wyruszył z obozu „kwarcianego” z pod Hrubieszowa 24 września a wyruszył w przyzwitoj asystencji: towarzyszył mu Morsztyn oberszter jego królewskiej mości, młody Szumowski podczaszcy czerski, syn komisarza Marcin Bogusz podstoli czernihowski, Konarski towarzysz husarski, Tęgoborski pokojowiec królewski, Białogłowski i Giebułtowski — rotmistrze; taborek ochraniała chorągiew kozacka Modrzewskiego i dwudziestu dragonów. W okolicy Bełzu, spotkał ich konwój tatarski z Olisza bejem na czele, więc wojsko koronne odejść musiało. Ledwie 30 w południe stanęli pod Lwowem w obozie tatarskim; zastał tu Szumowski kolegę, kasztelana wołyńskiego Franciszka Lubowickiego, któ-

ry duiem wcześniej przybył — i wówczas to zaprzestano strzelania do nieszczęśliwego miasta. Do zgody przyszło nierychło: upominał się o podarunki han, upominał się Suffian Kazi aga podskarbi hański, upominał się i tłumacz Morawski, lipek, który niedawno przerzucił się na stronę nieprzyjaciela, choć komisarze mieli swoich dwóch dragomanów — Harłakowicza i Piotrowicza. A tu jeszcze bieda nowa, trzeciego komisarza, p. Gabryela Silnickiego kasztelana czernihowskiego, doczekać się niepodobna. Stało na tém, że się bez niego do czasu obejdą, tém bardziej, iż obaj koledzy poręczyli, że się zgodzi na to, co oni uradzą. Wystąpiły więc żądania różne, a między niemi o poddanie Lwowa i odstąpienie całego województwa Ruskiego. Podstoli chełmiński Morsztyn, usłyszawszy o tém, prosił, by mu pozwolono rozpatrzyć się dokoła miasta; dygnitarze muzułmańscy chętnie na to przystali. Jechał więc tedy, serdecznie witany od obleżonych, przypatrujących się polskiemu rycerzowi, przez wrogów konwojowanemu. Przygodny lustrator przekonał się, że Lwów istotnie opasany jak pierścieniem przez nieprzyjaciela „pod samemi murami turcy aprosze porobili”, działa przytem „narychtowane”; od św. Łazarza do Maryi Magdaleny leżał Doroszenko, od Gródka — tatarowie, od św. Piotra po Hallickie przedmieście — otomani; siła wielka, a przy energicznem natarciu, obleżeni dla braku odpowiedniej załogi ostać się długo nie potrafia. Taki raport zdał komisarzom *privatissime* p. podstoli chełmiński; wówczas p. podskarbi koronny, za zgodą kolegów zaproponował, by się nieprzyjacieli wyrzekł województwa, bo tego nigdy nie otrzyma, a od miasta by się skronnym kontentował okupem. Dedysz aga, delegat Kapłana baszy, zrazu się opierał, groził nawet, bo tak mu wypadało czynić, ze względu na politykę zaborczą, popieraną w otoczeniu sultana, ale skaptowany, po długich niby targach przystał, zażądał jednak ogromnej na te czasy sumy — 80,000 talarów bitych, przeszło pół miliona złotych ówczesnych. Że ciężar ten spadał na miasto, więc postanowiono wezwać kilku sławetnych „ex magistrato jako też ex communitate” (z magistratu i pospółstwa). Stawili się na wezwanie nasi dobrzy znajomi — Gabryel Bernatowicz, d-r Szymonowicz, Kuczankowicz i kilku jeszcze innych; rozpacz ich przejęła wiadomość o wysokości okupu, zwłaszcza, że barbarzyńcy dwudniowy na jego złożenie wyznaczili termin, i żądali wyłącznie złotej monety, srebrnej ani klejnotów i argentyerów nie przyjmując w rachunek. Sławetni przekładali załóżnie: „Weźcie Lwów, kościoły i kamienice na cegielki rozbierzcie, tedy tego przez niemożność nie zbierzecie, bo cokolwiek było, wszystko się wywiezło i co bogatsi mieszczanie pouchodzili, i z kościołów wszystko srebro i aparaty wywieziono” (**). A tu od pospiechu zależało pomyślnie rozwiązanie sprawy; więc znowu komisarze w umizgi, wytrzęśli kalety własne, by przekupić Morawskiego zdrajcę, a posiadał on wpływy, bo pokazało się jasno teraz, że choć na Litwie mieszkał, ale stosunki miał w Carogrodzie, jako tatar i jednej wiary z turekami; dostał 1,000 zł. i interes uregulował w ten sposób, że zgodzono się na odwłokę 75,000 talarów, zawsze atoli z odpowiednią „zastawą”, ale 5,000 żądali mieć natychmiast wypłacone. Delegaci miejscy i przed tą cofnęli się sumą: „nie mamy, powiadali, próbujcie, może potraficie mizeryą ową wydusić.” P. Kasztelan wołyński, Franciszek Lubowicki, przyjął na siebie drażliwą misję wybierania haraczu; jakoż 2 października, w towarzystwie Batyr agi i dwóch turek przybył do miasta o świtanii; istotnie szło jak z kamienia, istny był dzień sądny dla mieszczan, znosili co który miał — talary, orty, półtoraki, grosze, szelagi, księża wypróżniali skarbonki, ubogie wdowy składały pamiątkowe dukaty, w dzień ślubu poświęcane, ale to połowy żadanego nie pokryło okupu; gmin liczył na pomoc Bernatowicza, niegdyś bogatego bankiera, który oto i teraz nie opuścił zagrożonej placówki i dzielił z obywatelami troski i niepokoje, patrycyusz jednak straty poniósł wielkie — nieprzyjacieli mu zabrał wszystkie stadła rasowych koni, a skarbiec z racji dawniejszej ofiarności stał pustką; przecie jeszcze w 1648 roku wspólnie z Torosowiczem, stryj jego Krzysztof na okup dla Chmielnickiego złożył 42,626 zł., a on teraz, jedyny tego stryja spadkobierca, ledwie kilkadziesiąt talarów potrafił ściągnąć (*).

(*) Akta historyczne, II, s. 1099—1119.

(**) Grabowski: Ojczyste wspominki, I, 187.

(*) Sadok Barącz. Żyoty sławnych ormian w Polsce, s. 72. Korespondencya prywatna. (Rękopis).

O zmierzchu przybiegli z obozu hańskiego — p. Morsztyn podstoli chełmiński i p. Konarski towarzysz husarski: dawajcie, powiadają, wiele jest, jutro zbierzecie resztę, a tymczasem wysłijcie sześciu zakładników do hana, bo bez tej pewności, szturmy do miasta przypuszczają zacznie. Natychmiast zgarnięto z taką troską ściągnięty haracz, trochę więcej jak połowę wszystkięj wynoszący należytości, zabrał go, wraz „z zastawą” z żywych ludzi złożoną i udał się z tém do obozu nieprzyjacielskiego... Egzekucya okupu przez noc całą nie ustawała, Konarski w asystencyi turków przebiegał ulice miasta, w ratuszu zasiadała rada nieustająca, patrycyusze zamiast monety znosili klejnoty rodzinne — łańcuchy, kolce, pierścienie, talerze, misy srebrzyste, pułhary, utworzyły się z tego stosy wcale poważne, szukano na nie kupców — ale ich nie było. Nadedniem przybyły podskarbi nadworny od Kapłana baszy, z trwogą się dowiedział, że ledwie 4,000 talarów uzbierać zdołano... Nowe molestacye, groźby, powiększyły sumę haraczu o kilkaset lewkowych... Zbliżała się godzina ostatnia, ostatni termin, w drzwiach ratusza stał markotny p. Szumowski, rozmyślając o biedzie wielkięj w kraju, kiedy takie handlowe miasto jak Lwów tak blahęj sumy złożyć nie jest w stanie... w orszaku podskarbiego znajdowali się najczynnijscy egzekutorowie doraźnego podatku, bo i podstoli chełmiński, i Konarski, i Batory aga... rozglądali się oni dokoła, azali nie ujrzą nowych ofiarodawców — nie było nikogo.

Naraz przedostał się przez otoczenie staruszek nizki, przysadkowaty, więcej niżli skromnie ubrany: był to p. Minasowicz Aswadur, ex-rajca, ale mało znany w mieście, przywędrował bowiem przed kilku laty ze Stanisławowa; zwinął tam handel bławatnych towarów, we Lwowie osiadł na wypoczynek, modlił się i czekał swojej, jak powiedział, kolei... Przypadającą na niego część podatku haraczowego złożył wprzód od innych, więc patrycyusze ze zdziwieniem przypatrywali się przybyszowi, nie umiając sobie zdać sprawy, co go do ratusza sprowadza.

— A wiele jeszcze brakuje? — spytał podskarbiego nadwornego, uchylając czapki.

— Sześćset talarów co najmnij — odpowiedział mu z pewnością niechęcią senator.

— No, dziękuj ci Boże wszechmogący! zawołał ex-rajca, tyle się właśnie znajdzie — i mówiąc to dobył worek i rzucił go na stół, dodając: 500 czerwonych złotych składam i rozporządzam niemi tak — „za miasto 400 a za ormiany sto dukatów”, przeznaczono to było na kościoły i szpitale; kościoły i szpitale w niebezpieczeństwie — ratować je potrzeba.” (*)

Sklonił się znowu i oddalił przez nikogo nienagabywany. Lwów został uwolniony od oblężenia; powszechna radość zapanała ale nie dla wszystkich...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KULAWY I ŚLEPY.

Florian, słynny bajkopisarz francuzki, w jednęj z bajek, którą z właściwym sobie talentem przerobił nasz Krasicki, przedstawił nam dwóch kaleków, którzy połączyli swoje nędze aby się wspierać wzajemnie w ich znoszeniu. Jeden bez drugiego, cóżby oni poczęli? Musieliby zginąć; razem, będą żyli a może nawet uprzyjemnią sobie życie; będą rozmawiali o przeszłości, opowiadać sobie smutne swoje przygody i przez to kalectwa ich doznają ulgi.

„Kochajcie się między sobą” mówi Ewangelia; z tego prawa płyną: miłosierdzie, braterstwo, stowarzyszenia, pomoc wzajemna. „Wspomagajcie się nawzajem” mówią wszystkie filozofie; ale czyż zalecają to w imię interesu? Dobro wyświadczone z interesu, czyż jest rzeczywiście dobrém, czy mieści ono samo w sobie nagrodę?

Ze stanowiska materialnego może tak jest: kulawy będzie sobie winał, że dobrze prowadził ślepego, gdyż ten przez wdzięczność będzie go niósł ostrożnie; ale prawdziwa nagroda

za spełnienie dobrego uczynku jest wyłącznym udziałem tych, którzy w dobrym uczynku szukają tylko spokoju serca i rozkoszy zadowolenia z siebie samego.

My wszyscy jesteśmy mnij więcej ślepi i kulawi, każdy po swojemu; wszyscy potrzebujemy swoich towarzyszy w drodze życia; oni posiadają talenta, zdolności, których nam brakuje, tak jak my znów posiadamy przymioty na jakich im zbywa. Wszyscy mamy interes własny w wzajemnej wymianie usług, ale aby ta wymiana wydała dobro trwałe i ożywcze, nie może ona polegać na szeregu targów, przy których każdy usiłuje nie dać więcej nad równoważnik tego, co sam otrzymuje; trzeba, żeby temu przewodniczyło wyższe uczucie. Nie działajmy z interesu ani nawet przez wdzięczność: „Kochajmy się wzajemnie!”

WYSTAWA W MUZEUM PRZEMYSŁU I ROLNICTWA.

Wystawa w Muzeum przemysłu i rolnictwa wkrótce już będzie zamknięta; publiczność, uczęszczając na nią tłumnie, złożyła świadectwo, że interesuje się przemysłem rodzimym, bodaj więcej niż sami przemysłowcy. Z ogólnego przeglądu wystawy musimy wyciągnąć wniosek, że cechował ją charakter doraźny, epizodyczny, że przeważało w niej hasło „na ochotnika”. Jedne działy były dość wypełnione, drugie mnij, inne bardzo zaniedbane a inne zupełnie puste; jednak to co widzieliśmy świadczyło, że gdybyśmy tylko chcieli, mielibyśmy się z czém nawet przed przemysłem europejskim popisać. Niestety, nie chcemy!

Nieobesłanie wystawy przez wielu z naszych przemysłowców i rękodzielników, świadczy o obojętności w tych sferach na własne i społeczeństwa dobro, albo też o zupełnym a jak na dzisiejsze czasy zadziwiającym braku pojęcia o pożytku i doniosłości wystaw tego rodzaju. Ci co stawili się na wezwanie zarządu Muzeum, co uznali za potrzebne przybyć tam, gdzie ich powołują dobrze zrozumiany własny interes i dzisiejsze wymagania wszelkich gałęzi przemysłu ludzkiego, znaleźli już nagrodę naprzód we własnym przekonaniu, że są na wysokości zadania swojego czasu; w uznaniu publiczném swego obywatelskiego i fachowego uzdolnienia; wreszcie nawet w materialnym interesie, gdyż wystawa dla wielu przedstawia się jako rynek zbytu wcale korzystny.

Ci co się nie stawili do apelu, mogą tylko żałować tego zaniedbania i przyrzec sobie, że nie popełnią go nigdy więcej.

Powtarzamy: wystawa bardziej zainteresowała publiczność aniżeli świat przemysłowy; była ona też ulubioném dzieckiem Warszawy, która ją otaczała atmosferą przychylności i ciepła jakoby rodzinnego. Szczególniej wielka i piękna sala muzealna na pierwszém piętrze, gdzie mieszczą się wyroby wszystkich celniejszych warszawskich fabryk fortepianów, stała się miejscem schadzek wieczornych, modnym salonem, w którym spotykali się „wszyscy” — gdzie oprócz Padarewskich, Michałowskich i t. p., można było codzień usłyszeć grę jakiegoś nieznanego dotąd młodocianego talentu.

Ta przychylność publiczności dla wystawy ma zapewne po części źródło w życzliwości, jaką Warszawa darzy z zupełną szczerością instytucją muzealną, która dwiema ostatniemi wystawami, a głównie obecną, odbyła niby inkrutowiny nowęj a wspaniałęj własnej siedziby.

Aktem, którym wystawa zakończyła swój żywot szanowny, było przyznanie i rozdanie nagród. Nazwiska nagrodzonych wypisujemy w tém miejscu, nie mogąc się wdawać w ocenę szczegółową zasług wystawców; wszystkim im należy się podzięką za dobrą wolę z jaką wysłuchali wezwania, na nich przedewszystkiém przemysł krajowy może rachować. Niech nie mają do nas pretensyi ci z wystawców, o których w pogawędkach z bieżącej chwili nie wspomnieliśmy wcale — nie było to wskutek niechęci lub lekceważenia, lecz z powodu braku sprawozdań ekonomicznych, zaspeyalnych dla pisma literackiego.

Otrzymali: *Dyplomy zasługi*: Warszawska fabryka wyrobów rogowych; Krall i Seidler.

Dyplom uznania: Kerntopf i syn.

(*) Sadok Barącz. Żywoty, s. 203. Korespondencya prywatna (rękopis).

WYSTAWA W MUZEUM ROLNICTWA I PRZEMYSŁU.



W wielkiej sali: Fortepiany Mateckiego, Kralla i Sejdlera, Hildta, Kerntopfa; meble gięte z fabryki „Wojciechów”; reperowane dzieła sztuki z zakładu Borawskiego; wyroby srebrne braci Hennebergów; ostre narzędzia Przewoskiego; malowania na atłasie Powichrowskiej, maszyna do szycia Olszewskiego, obicia papierowe Franaszka i w. i. — W salach parterowych, pierwszego i drugiego piętra: Instrumenty muzyczne; drobiazgi toaletowe; lampy i latarnie gazowe; szafy, kredensy i t. p. wyroby z drzewa. Dywany. Krawiecczyzna kobieca i w. i.

Z „sławnego” jarmarku wraca jakiś kupiec drogą ku Świtezi, wiezie „dukaty, talary” bo sprzedał wiele rzeczy, więc ma dużo... dużo pieniędzy.

Jedzie wesoło, trzy za nim bryki
Napchane złotym towarem,
Słońce ostatnie rzuca promyki
I krwawym błyska coś żarem.
Już niedaleko Świtezi było,
Jadą śpiewają wesoło —
A chociaż droga gładka aż miło,
Jednak się łamie im koło.

Przypadek w drodze niemiły, zwłaszcza gdy już zmroć zapada. Kupiec zachodzi w głowę co począć, posyła po kowala, i szczęściem że był niedaleko; więc wóz rychło naprawiono i dalej w drogę

... wesoło rusza,
Bo co krok to dom już bliżej.

Ale zawsze jeszcze kilka godzin upłynie zanim dojadą — a tu zaszła noc ciemna „choć oko wykol”. Jadą więc i jadą, i czują, że koła trzeszczą i zapadają w jakoweś jamy; zbłądzili...

Puszczają konie w samopas, a tu z poza krzaków coś wybiegło i błysnęło ogniem; przeżegnali się i jadą dalej... Trwoga ich ogarnia, wiatr jęczy — co to wszystko znaczy?

Piasek w słup wije, idzie do góry,
Istne wesele szatańskie;
Sosny szeleszczą i szum ponury
A strachy dręczą tyrańskie —
Aż wreszcie ujrzą rozstajne drogi
Okolo znanego słupca,
Zewsząd opadnie tłum wiatrów srogi
— Tu młodzian napadł na kupca.

Przerażony kupiec woła:

Chłopcze co tobie?
Czy ty z dyablami masz razem —
Chcesz złota? bierz go ile chcesz sobie,
Lecz nie bierz życia...

...
Mam żonę, dzieci, zrobisz sieroty,
Wszyscy zapłaczą na ciebie

...
Pomsta cię czeka, oto ta głowa,
Gdy z twojej ręki upadnie,
Nie ciężka dla niej deska grobowa,
Z grobu się pomścić wykradnie.

Zapóźno! Młodzieniec zaprzedał dyabłu duszę, więc zbrodnię spełni. Siekierą odrąbał kupcowi głowę a sług jego sprzątnęli dyabły.

Tak to jest teraz, tak i przed laty
I było pono i będzie,
Że trzos a kabza najlepsze swaty,
A reszta na małym względzie.

Przyszedł więc młodzieniec do ojca swojej najmilszej, wyspał mu pieniądze i zabrał córę.

Żyje z nią szczęśliwy; chociaż go czasem „pamięć zbrodni gryzie” to ją „topi w winie”, to „w szumie światowym”.

Pieści się z żoną, ma dużo dziełek —
Cieszy się, i choć przepadnie,
To one jego wzięwszy dostatek
Będą na świecie żyć ładnie!!

Zresztą on się pociesza:

Kościółom sumy znaczne poświęci,
Szpitalne obdarza dziady;
Myśli, że Pan Bóg podłą ofiarę
Z łez, krwi niewinnym bliźniego
Przyjmie, obroni taką poczwagę...

...
Mija już lat czterdzieści od czasu zamordowania owego kupca, a jest to termin, w którym duszę jego według układu ma zabrać dyabeł.

Przeczuwa on tę godzinę...

Noc już uprzedza rocznicę —
Zegar północną dobę wybija,
On we śnie chwyta za świecę,
Wybladły, drżący jak z grobu mara
Idzie i świecę postawi.
Ciężka od westchnień z piersi mu para
Omało ognia nie strawi.

Jak konający okropnie wzdycha,
I coś pod nosem zamruczy,
Jęczy i znów się dziko uśmiecha...

...
Odgania trapiące go zmyły, które mu nie dają usnąć. Zrywa się z łóżka, biegnie do żony; żona przestraszona uspokaja go, ale to nic nie pomaga.

Wreszcie przeszła ta straszna noc.

Ale on wie, że nazajutrz przyjdą ich dyabelskie mości po niego z pewnością; sprasza więc gości, myśląc, że się tēm wykrepi.

Zastawiono stoły, goście się zeszli i ucztą była wesoła.

Aż raptem ów pan cofnie się w tyły
I wszyscy patrzą z podziwem —
Aż ujrzą, gdy w stół oczy wpatrzyły,
Głowę człowieczą!...

Strach ogarnął obecnych. „A głowa rzuca w koło wzrok srogi”, więc „wszyscy w nogi!...”

Pan domu stoi w miejscu i „trzęsie się jak osina.”

Niema rady; zemsta spełniona! Dyabły wbiegają jeden po drugim to drzwiami, to oknem. Mury domu się trzęsą — wreszcie:

Chwieje się domu posada
Trzeszczą sklepienia — tu płaczą, jęczą,
Ściana od ściany odpada...

Wiatr świszczy, sypie piaskiem; burza się zerwała, piorun za piorunem uderza i całe miasto gwałtownie się trzęsie...

Chwieje się, chwieje, waży, kołysze
Świtezi wielka posada,
Jak bryła lodu kiedy odpisze
I Świtez w bezdno zapada.

...
Balladę kończy sens moralny:

Przechodniu, który widzisz te wody,
I ten co o nich zasłyszysz —
Weź wieczne z żądzą każdą rozwody,
Któręj zbrodnia towarzyszy.
Lepiej umierać z nędzy, z pogardy,
I szczęścia nieznac słodkości,
Lepiej mieć umysł w nieszczęściu hardy,
Niż się dopuścić podłości! (*)

„Świtez” swoją napisał Czeczot pod wrażeniem „Świtezi” Zana i Mickiewicza, jak to widzimy ze wstępu.

Czas, w którym powstała, nie da się ściśle oznaczyć; w każdym razie przypada ona na czasy uniwersyteckie poety.

JÓZEF H. RYCHTER.

ŁÓDŹ PAPIEROWA.

W tej chwili p. Tanneguy de Wogan, którego widzimy sterującego łodzią, zajęty jest próbowaniem wytrzymałości łyżew z masy papierowej; na pole doświadczeń swoich obrał podobno fiordy szwedzkie i góry norweską pokryte lodem, po których mieszkańcy Skandynawii ślizgają się na łyżwach z szybkością szybującego ptaka. P. Wogan należy do francuzów entuzjastów wytrwałych, których rasa coraz bardziej zanika; czynności swe stosuje do każdej pory roku a mając szczególne zamiłowanie do wędrówek, całe zeszłe lato poświęcił podróżom w łodzi papierowej a teraz zimę papierowym

(*) Balladę powyższą podalem w streszczeniu ze względu na jej obszerność, liczy bowiem 560 wierszy. J. R.